

## DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII

Warszawa, 25 listopada 1951 r.

Nr 47 (313)

W NUMERZE m.in.:

M. ROSTWOROWSKI — O naszych założeniach ideowych i politycznych

J. ZABŁOCKI — Personalizm i rewolucja

T. MYŚLIK — Gospodarka planowa a osobowość ludzka

J. KOLENDO — Rozmowa nad Tamizą

R. BUCHAŁA — Prawo własności prywatnej

W. WNUK — W złotej kamienicy.

## PRZED SIÓDMYM ROKIEM PRACY

**D**LA PODSUMOWANIA jakiegokolwiek dorobku intelektualnego czy ideologicznego — okres sześciu lat to bardzo niewiele. Bez zarzucia też i nie ze snobizmu pismo nasze co rok ogląda się wstecz i ocenia swój dorobek. Najdalsi jesteśmy od chęci obchodzenia „jubileuszów” pracy, która znajduje się jeszcze wciąż w stadium w pełni dynamicznym, w stadium rozwoju. Jeśli podkreślamy poszczególne rocznice, to po to, by wespół z gronem naszych przyjaciół-czytelników, móc co pewien czas nachylić się nad przebyty etapem, skonfrontować osiągnięcia, wytyczyć zadania na przyszłość najbliższą. To też nasze „numery rocznicowe” nie są bynajmniej nastawione na dawanie wyrazu mniej czy bardziej uzasadnionym nastrojom uroczystym; są przeciwnie numerami na wskroś „robotycznymi”, nastawionymi raczej na próby syntez, na krytyczną ocenę osiągniętego dorobku.

Istotnie jesteśmy zespołem ideologicznym na dorobku. Czerpiemy z nieprzebranej skarbnicy mądrości, jakimi są prawdy katolicyzmu. Dążymy do najwinniejszego oddawania w naszej pracy intelektualnej wiecznej i nieomyślnej nauki naszego Rzymskiego Kościoła Powszechnego. Każda epoka ma swój własny język, którym prawdy Wiary trzeba wyklądać, każda epoka ma swe własne, oryginalne zagadnienia, które trzeba roztrząsać i rozwiązywać, by w sposób skuteczny nieść Dobrą Nowinę. Myślimy postawili sobie ambitne zadanie, by przemawiać po katolicku językiem naszej epoki, by szukać katolickich rozwiązań problemów, które ona niesie. Zadanie jest tym trudniejsze, że czasy nasze domagają się namiętnie rewizji wielu pojęć, dotąd, wydawać by się mogło, nie naruszalnych a jednocześnie, na wielu odcinkach dziś w polskiej kulturze katolickiej dostrzec można chęć zasklepienia się w ciasnym kręgu pojęć oderwanych od rzeczywistości, współczesnej treści.

Tym się właśnie naszym zdaniem tłumaczy fakt, że tak opornie rozwijają się bardziej pogłębione dyskusje nad najistotniejszymi problemami spornymi wśród intelektualnych ośrodków katolickich w Polsce. Uznajemy nie tylko celowość, ale i konieczność takich konfrontacji. „In necessariis unitas” — mówi mądrość Kościoła, przypominając katolikom o dyscyplinie wewnętrznej, koniecznej dla godnego przyjęcia w sercach naszych niezbędnych dla naszego zbawienia Prawd Obiawionych. „In dubiis libertas” — przypomina dalej, wskazując na obowiązek dopracowy-

umysłów rzetelnej wiedzy o otaczającym nas świecie i potrzebach człowieka. Każda próba zastąpienia nałożonego przez Opatrzność obowiązku świadomego budowania naszego człowieczeństwa przez fikcyjną ortodoksję — to wznoszenie intelektualnych bożyszczy miast oddania czci tkwiącej w każdym z nas iskierce Ducha Świętego. „In omnibus caritas” — we wszystkim miłość chrześcijańska — oto ukoronowanie znanej maksymy katolickiej, wskazujące, że jakkolwiek duże mogą zachodzić rozbieżności w ocenie spraw ziemskich między katolikami, nie wolno im zapominać o jednoczącej zasadzie miłowania nie tylko abstrakcyjnego bliźniego, nie tylko wyznawcy obcych nam zasad, ale także — i tego po prostu, który ma w sprawach spornych odmienne od naszych poglądy.

Przepiękna modlitwa francuskiego księdza, której wzniosłe słowa widnieją obok tych myśli, stanowi chyba najgłębszy wyraz tych twórczych wartości różnic i sporów o które nie przesłaniem się upominać.

Pod nazwą naszego pisma znajduje się zobowiązujące określenie: Katolicki Tygodnik Społeczny. Określenie to w pewnej mierze przesądza zadania naszego zespołu. Nie rezygnując z twórczych wysiłków w każdej dziedzinie katolickiej kultury, w pierwszym rzędzie skupiamy się wobec jej aktualnych, społecznych aspektów. Nie potrzebujemy nikogo przekonywać

o ich decydującym dziś znaczeniu. Człowiek jest jednością. Jego modlitwa, jego wysiłek umysłowy, jego twórcza praca stapiają się w jedną całość. Jeśli jednak w poprzednich okresach jego wloty religijne, jego twórczy wysiłek duchowy i umysłowy były dziełem świadomej woli, o tyle warunki jego bytowania zbyt często powierzane były ślepej mechanice gry sił bezdusznych.

U źródeł wszystkich współczesnych problemów moralnych ludzkości leży dziś przełomowy fakt iż człowiek dorósł do poniesienia świadomie odpowiedzialności moralnej za całokształt stosunków społecznych go otaczających. Rzeczywistość naszych czasów napiera na nasze sumienie całym ciężarem nie odwracalnych faktów, udawających, że możemy i musimy się kierować wolą przekształcania całokształtu stosunków międzyludzkich zgodnie z prawdą o niezaprzeczalnych potrzebach człowieka. Z drugiej strony buntuje się, wychowany w głębi naszej podświadomości przez wieki instynkt egoistycznego strzeżenia tylko swoich własnych, najbardziej bezpośrednich potrzeb życiowych.

W tym wewnętrzny konflikt tkwi najistotniejsza treść wielkiego problemu moralnego, jakim jest tocząca się od wieku, przez świat współczesny skrycie czy jawnie wielka fala społecznej rewolucji. Jesteśmy w całej pełni świadomi, że ta rewolucja dziś odwołuje się do moralności zdefiniowanej przez

materializm marksistowski, przez to nie zgodnej z zasadami moralności chrześcijańskiej. Nie zamierzamy nic uronić z przekazanej nam i strzeżonej przez Kościół Nauki Chrystusowej. Jednocześnie jednak jesteśmy zdecydowani brać udział w dziele generalnej przebudowy stosunków społecznych, gdyż jest ona człowiekowi współczesnemu potrzebna. Chcemy więc współuczestniczyć w rewolucji i budować zręby przyszłego socjalistycznego świata. Chcemy to czynić po katolicku i dla katolicyzmu. Tej problematyce poświęcamy świadomie najwięcej miejsca na łamach naszego pisma, tej problematyce — próbie konfrontacji starych i nowych pojęć społecznych z zasadami katolicyzmu — poświęcamy w szczególności ten numer.

Nasz światopogląd katolicki i nasze idee społeczne wyznajemy i realizujemy w konkretnych warunkach Polski Ludowej. Jako obywatele swej Ojczyzny oczuwamy się do pełnej odpowiedzialności za stworzenie jej najlepszych warunków rozwoju. Jako katolicy — stawiamy sobie konkretne zadanie wypracowywania, w oparciu o zawarte Porozumienie między Kościołem a Państwem Ludowym, maksymalnie najlepszych form rozwoju życia religijnego katolików polskich. Pragniemy, by osiągnięcia polskie na tym odcinku stały się doświadczeniem dla innych społeczeństw, gdzie rewolucja wniesie problem współżycia różnych światopoglądów.

W wielkim dziele budowania podstaw gospodarczych dla przebudowy społecznej kraju, w dziele zapewnienia Narodowi Polskiemu bezpieczeństwa i skupienia sił wokół twórczych zadań — pragniemy pracować w szeregach Frontu Narodowego, broniąc pokoju i realizacji materialnych zadań planu sześcioletniego. Zjednoczeni w tym froncie dostępnymi nam środkami bronąć będziemy, przed zakusami niemieckich rewizjonistów wszelkiego pokroju, nierozważności Ziemi Odzyskanych z Macierzą. Bronić będziemy również integralnych interesów narodu polskiego przed wojennymi i dywersyjnymi prowokacjami wszelkich obcych agentur i tych Polaków, których wsteczne poglądy pchnęły na drogę służenia obcym interesom.

W wielkiej toczącej się na całym świecie walce przeciw próbie narzucenia ludzkości trzeciej wojny, określiliśmy swe miejsce w Obozie Pokoju, gdyż po tej stronie realizują się zrebby bardziej postępowego świata i tu przejawia się obiektywna wola pokoju, wyrażona przez najszerzą masę na całej kuli ziemskiej. Określiliśmy w związku z tym miejsce Polski w tym obozie, na czele którego stoi Związek Radziecki. Ścisły sojusz Polski Ludowej i Związku Radzieckiego zabezpieczył i utrzymał sprawiedliwe granice naszego kraju. Sojusz ten stworzył podstawę daleko idącej pomocy gospodarczej. Sojusz ten stworzył podstawę dla przyjaznej i pokojowej współpracy między Polską a sąsiednimi państwami a w pierwszym rzędzie z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Wypełnianie na każdym dostępnym odcinku odpowiedzialności politycznej, społecznej i światopoglądowej jest, naszym zdaniem, podstawowym obowiązkiem katolika w chwili gdy ludzkość przechodzi chwile tak przełomowe jak w obecnym okresie. W oparciu o Naukę Kościoła Katolickiego, w ścisłym kontakcie ze wszystkim co postępowe społecznie w dorobku intelektualnym katolików na całym świecie — dążyć będziemy stale naszymi skromnymi środkami do pogłębienia świadomości tych obowiązków w nas samych i w gronie naszych przyjaciół i czytelników. Dorobek minionych sześciu lat zobowiązuje nas tylko do wzmocnienia naszych wysiłków. Zdając sobie w pełni sprawę z przyjętej na barki zespołu „Dziś i Jutro” odpowiedzialności i z rysujących się trudnych zadań rozpoczynamy więc nowy rok działalności apelując o dalszą współpracę naszych przyjaciół, o rzetelną i twórczą krytykę wszystkich czytelników.

Ks. MICHONNEAU

tł. Jerzy Andrzej GÓRSKI

## Modlitwa

**P**ANIE BOŻE, nie proszę Cię, abyś oddalił spory od Twego Kościoła. Nie proszę Cię, aby chrześcijanie i ich pasterze zawsze wyrażali jednomyślnie te same poszukiwania, te same poglądy i te same przedsięwzięcia.

Od czasów Piotra i Pawła pozwalaleś zawsze, by wiosła wprawiane w ruch zderzały się, dopuszczaleś wahania dłoni dzierżącej ster. Zezwalaleś zawsze na istnienie w Kościele Twoim różniących się między sobą dążeń i na pewnego rodzaju napięcie między tymi, którzy idą szukać owej setnej w stadzie, niewiernej owcy, a tymi których urzeka pełnienie strażu przy świętym skarbcu.

Utrzymaj, o Panie, w sercach Twoich wiernych te dwie wielkie troski, dwie wielkie namiętności.

A ponieważ serce żadnego z Twych synów nie jest tak szczodre jak Twoje serce, i umysł żadnego z nich tak rozległy jak Twoja mądrość, powierzasz Panie każdemu z Twoich dzieci specjalne zadanie, które jest jedynie częścią ogromnej misji Kościoła. Modlę się, Boże, do Ciebie za wszystkich moich braci, których obecnie ogarnia niepokój na widok śmiałości, z jaką w ich oczach niektórzy podejmują odważnie swój apostołat. Modlę się nie tylko za lekających się, za drżących, za tych, którzy myślą, że odtąd zakłócony jest cały spokój i bezpieczeństwo rozwoju Kościoła, lecz modlę się wraz z nimi.

Modlę się do Ciebie nie wspólnie z ich lękiem i nie za ich lęk, ale w łączności ze wszystkim, co jest wielkie w ich sercu, za to, co jest święte w broniomym przez nich skarbcu, i za to, co jest szlachetne w namiętności, z jaką go bronie. Modlę się w łączności z ich sercem, a nawet, jeśli mogę tak powiedzieć, modlę się z ich serca, w łączności z tym, co rozu-

miam z ich wierności, a także, z tym, czego nie rozumiem, ze wszystkim, czego nie pojmuję, a co cenne jest dla Ciebie, Boże, w ich uporze i walce.

Modlę się także, Panie Boże, za tamtych drugich i chciałbym, aby oni modlili się razem ze mną — za wszystko, co wielkie i piękne w misyjnym porywie, za wszystko, co pochodzi od Ciebie, w śmiałości tych, co wyruszają niby tropiciele śladów, zawsze w poszukiwaniu, i zawsze w niepokoju i w węce.

Nie proszę Cię, Panie, byś powstrzymał ich w tych przedsięwzięciach ani byś położył kres ich poszukiwaniom.

Przeciwnie, modląc się do Ciebie, Panie, trwam w jedności z ich cierpieniem, z ich namiętnością, z niepokojem ich serca. Modlę się w łączności z ich ostrością widzenia zła na tym świecie i z przepętniającym ich duchem miłości.

Razem z jednymi i drugimi modlę się do Ciebie za wszystko, co jest w nich dobre, lecz przede wszystkim za to, czego odkryć nie potrafisz z powodu mej małości, ograniczenia i krnąbrności.

Ty, Panie, wiesz, że nie proszę, abyś przydał jeszcze jedną uzdę rydwanowi Twego Kościoła, ani byś zniósł wszystkie uzdy.

Nie proszę Cię ani o strach, ani o zuchwałość. Modlę się do Ciebie przez Ducha Świętego, w łączności z Duchem Świętym, który mieszka w każdym z Twych synów i w każdym z ich pasterzy; modlę się o to, aby Duch ten zatriumfował w każdym z nich nad egoizmami, które by tam nawołał; aby żaden z Twych synów nie krył swego światła pod korzec i by swym korcem nie zastawiał pochodni innych.

Amen.

REDAKCJA



Mikołaj ROSTWOROWSKI

# O naszych założeniach ideowych i politycznych

I.

**P**ISMO nasze skupia katolików, którzy mają wolę wyciągnięcia pełnych konsekwencji z faktu przynależności do Kościoła i do Narodu Polskiego. Naczelną racją naszej działalności ideologicznej i politycznej jest religia katolicka. Świadomość, że katolicyzm to religia miłości, świadomość, że posiadana prawda musi być realizowana, stanowi zasadniczy impuls skłaniający nas do intelektualnej i praktycznej aktywności.

Daremnie jednak szukalibyśmy w naszej religii konkretnych wskazań dla politycznego postępowania. Religia jest wartością ponadczasową a jej nakazy obowiązują w każdym czasie i w każdym miejscu.

Stosowanie tych nakazów do konkretnych, określonych czasem i miejscem sytuacji należy do wierzących, przy tym ta ich działalność podlega ocenie Władzy Kościelnej.

Aby postępować moralnie nie wystarczy jednak znajomość światopoglądu, nie wystarczy znajomość wiecznych zasad naszej etyki. Konieczna jest ponadto rzetelna wiedza o rzeczywistości, w której te zasady mają być stosowane.

Opis i ocenę rzeczywistości dokonywane z określonych pozycji światopoglądowych i filozoficznych nazywamy ideologią.

Ponieważ każde świadome postępowanie człowieka opiera się w ostatecznej instancji o jakąś znajomość i ocenę rzeczywistości — cokolwiek byśmy nie czynili — wszystko ma swoje ideologiczne zaplecze. Rzecz w tym, żeby ta ideologia była słuszną i maksymalnie uświadomioną, a bardzo często się zdarza, że nawet tam, gdzie chodzi o katolików szczerze przywiązanych do wyznawanego światopoglądu — katolickość ideologicznego zaplecza ich postępowania jest mocno wątpliwa.

Posiadanie słusznej ideologii jest o tyle trudne, że nie jest ona czymś statycznym, lecz musi się zmieniać wraz ze zmianą opisywanej i ocenianej rzeczywistości. Stąd autentyczny katolik, chcąc być w zgodzie z katolicką moralnością miłości, nie może ani chwili przypatrywać się życiu społecznemu z założonymi rękoma. Musi ustawicznie poznawać to życie i oceniać je, a co najważniejsze wpływać na jego kształt zgodnie z nauką Chrystusa. Znajdujące swoje bezpośrednie oparcie w ideologii wpływające przyrodzonymi środkami na kształtowanie życia społecznego nazywamy polityką.

Niesłychanie dla katolików istotny związek polityki ze światopoglądem jest zatem natury pośredniej. Dokonywa się on poprzez pomost ideologii. Właśnie owa pośredniość sprawia, że może być wiele ideologii i aktywności politycznych katolików i wszystkie one mogą być z naszym światopoglądem niesprzeczne. Ale w określonym czasie i miejscu tylko jedna ideologia jest słuszną. Ta mianowicie, która będąc zgodna z katolickim światopoglądem najpełniej uwzględnia obiektywne dane rzeczywistości.

Dane owe w odniesieniu do osoby ludzkiej rozpatrywanej w świetle katolickiej filozofii i współczesnego stanu nauk szczegółowych mówią nam, że człowiek jest istotą społeczną i tylko w życiu społecznym może rozwijać własną osobowość. Rozwijanie, doskonalenie ludzkiej osobowości — ów jeden z najbardziej kategorycznych nakazów naszej religii ukazuje nam oto społeczne uwarunkowanie. Miłość bliźniego, którą nieustannie obowiązują jesteśmy świadcząc, staje się w świetle po-

wyższych faktów czczym frazesem, skoro nie zweryfikuje jej konkretna troska o społeczne warunki ludzkiego bytowania.

Troska ta znajduje głębokie uzasadnienie w wiążącym się ściśle ze sprawą rozwoju osobowego człowieka — chrześcijańskim pojmowaniem dziejów. Królestwo Boże, które nastanie już poza czasem, ma być społecznym wysiłkiem ludzkości właśnie tu, na ziemi przybliżane. Z konfrontacji niezmiennych założeń światopoglądowych ze zmienną rzeczywistością powstaje ideał historyczny czyli wzorzec konkretnego porządku, który z myślą o przybliżeniu Królestwa Bożego mamy realizować.

Nasza stale doskonalona ideologia oraz polityka, będąca jej orężem, to nie innego jak właśnie narzędzia służebne tego ideału. Ideologia i polityka tak pojęte to ów rodzaj świadomej aktywności człowieka, bez którego nie sposób sobie wyobrazić autentycznie katolickiej postawy. Tylko w wypadku, gdy jednostka opuszcza społeczeństwo dla Boga, którego miłość jest wartością najwyższą, tylko wówczas postawa subiektywnie apolityczna może być moralnie usprawiedliwiona.

II.

**K**AŻDA próba właściwej oceny współczesności musi wyjść od stwierdzenia dwu faktów najbardziej dla niej charakterystycznych, którymi są: ustrojowy i moralny kryzys świata liberalno-kapitalistycznego oraz nieustanny rozwój socjalizmu.

Katolicka ocena kapitalizmu nie ogranicza się do krytyki jego praktycznych konsekwencji, jak upośledzenie proletariatu, wojny o rynki zbytu, kryzysy ekonomiczne. Jak to stwierdził w głośnym artykule w OSSERVATORE ROMANO, della Torre redaktor naczelny tego dziennika: „Kapitalizm jest niemoralny w samej swej istocie”. Znaczy to innymi słowy, że obca jest etyce chrześcijańskiej sama zasada strukturalna kapitalizmu, zakładająca permanentną wielką człowieka z człowiekiem o prawo do materialnej egzystencji.

Oczywiście, tak surowa ocena tego ustroju jest możliwa dopiero na obecnym szczeblu rozwoju społecznej świadomości, kiedy kapitalizm ujawnił bez reszty swoją moralną zgniliznę i gospodarze wsteczniczo i kiedy jednocześnie nauka socjalistyczna nazwała po imieniu wszystkie „starannie tajone sprężyny jego mechanizmu. W tym stanie rzeczy bez względu na doraźny przebieg konfliktu między światem kapitalistycznym a światem socjalistycznym — ostateczna klęska tego pierwszego jest przesądzona. Nie ma żadnych przesłanek uprawniających do przypuszczenia, że ludzkość, która uświadomiła sobie możliwość planowego wpływu na przebieg społecznych procesów, zechce pozostawić je nadal jako niewiadomą wypadkową swobodnego ścierania się żywiołów ekonomicznych.

O wiele bardziej złożona musi wypaść nasza ocena socjalizmu, który jakkolwiek realizowany przez zwolenników materialistycznego światopoglądu, jest nie tylko pierwszą w dziejach ludzkości próbą naukowego kształtowania zjawisk społecznych, lecz ponadto jest ruchem, który wyrażając istotne potrzeby współczesności, rzeczywistości wpływa na kierunek historii. Dlatego też nie sposób mówić o socjalizmie tak jak się przy czarnej kawie dyskutuje o jednym z programów, które można dowolnie przyjąć lub odrzucić. Socjalizm jest

przed wszystkim faktem, znaczącym faktem, a fakty wymagają określonego stosunku — nie można ich nie dostrzegać.

Obiektywnym faktem, który również stawia nas wobec konieczności ideologicznego określenia własnej postawy, jest obserwowane starcie świata kapitalistycznego ze światem socjalizmu. W starciu tym nie ma pozycji politycznie neutralnych, nie ma „trzeciach” stanowisk. Bez względu na nasze intencje — swoją postawą polityczną stuzymy — obiektywnie rzecz biorąc — albo obozowi kapitalistycznemu, albo obozowi socjalistycznemu.

Jako katolicy, mający ambicję integralnego wiązania naszego praktycznego postępowania z postawą ideową wspartą o nieziszczalny fundament wyznawanego światopoglądu, nie rozstrzygamy dylematu „po której stronie” na płaszczyźnie oportunistycznej taktyki. Moralno-historyczne racje muszą zdecydować, po której stronie politycznej barykady widzimy miejsce dla skutecznej działalności społecznej katolików.

Moralna racja rewolucji socjalistycznej to przede wszystkim jej dążenie do urzeczywistnienia takiego porządku, w którym o pozycji społecznej człowieka będzie decydował sam człowiek swoim talentem i swoim wysiłkiem.

Historyczna racja socjalizmu i jego historyczna przewaga nad systemem kapitalistycznym to uświadomienie realnej możliwości planowego kształtowania życia społecznego.

Obie racje są dla nas racjami obiektywnie słusznymi, konsekwentnie

więc — ich niewątpliwym związkiem z niewyznanym przez nas materialistycznym światopoglądem traktujemy jako związek niekonieczny. Fakt, że marksiści a nie katolicy, pierwsi podjęli walkę o cele moralnie słuszne i historycznie realne, jest w dużej mierze konsekwencją bierności lub utopiijnej postawy katolików w przeszłości. Między prawdą wyznawanego światopoglądu a życiem, które toczyło się mimo nas lub wbrew nam, nie chcieliśmy lub nie umieliśmy przerzucić pomostu własnej ideologii.

Historyczna racja socjalizmu decyduje o tym, że rewolucja socjalistyczna dokona się niezależnie od postawy katolików, którzy dawno stracili wpływ na historię. W tej chwili jednak powagę sytuacji potęguje fakt, że ludzkość osiągnęła ten stopień samowiedzy, który pozwala jej na świadome kierowanie przebiegiem procesów społecznych. Polityka przestaje być, jak w kapitalistycznym społeczeństwie klasowym, narzędziem uzgadniania ewentualnie dyktowania niekontrolowanych interesów partokularnych a staje się coraz bardziej orężem ideologicznej świadomości. Fakt ów jest jednocześnie wielką szansą i wielkim zagrożeniem dla współczesnego świata katolickiego. Tam gdzie mamy do czynienia z świadomym ludzkim działaniem zjawia się bowiem równocześnie problem moralny.

Historyczny rozwój świadomości ludzkiej stwarza dziś potencjalną możliwość dla realnego wpływanu etyki chrześcijańskiej na kierunek życia społecznego. Jednocześnie jest niemal pewne, że skoro rewolucja so-

cialistyczna dokona się wbrew katolicyzmowi — wpływ ten może być żaden. I choć określona moralność będzie świadomie regulowała procesy — niekoniecznie musi to być moralność chrześcijańska. Tak więc nakaz naszej politycznej obecności w rewolucji to znaczy w świecie, gdzie społeczna moralność musi przybierać określony kształt postawy politycznej — staje się sprawą etycznej odpowiedzialności katolików.

III.

**Z**ARYSOWANA wyżej postawa odpowiedzialności za los człowieka — o którym w aspekcie doczesności decydują warunki społeczne — jest prostą konsekwencją obowiązku czynnej miłości bliźniego. Aktywność polityczna naszego Zespołu wynika z przeświadczenia, że jedynie z pozycji politycznego zaangażowania można w obecnym momencie historycznym wpływać na kształtowanie się polityczno-ideologicznej sytuacji w świecie.

Jako katolików i Polaków jednocześnie obowiązują nas podwójna odpowiedzialność: za katolicyzm i za naród. W sensie minimalistycznym odpowiedzialność za katolicyzm wyraża się w odpowiedzialności za zewnętrzne warunki działalności Kościoła, w sensie maksymalistycznym wyraża się ona w odpowiedzialności za społeczne realizowanie prawd katolicyzmu poprzez konsekwentną postawę ideowo-polityczną świata katolickiego.

Odpowiedzialność za naród wyraża się w odpowiedzialności za jego biologiczny i terytorialny potencjał (Dokończenie na str. 9)

## NOTATNIK POLITYCZNY

# Bitwa w pałacu Chaillot

**M**IĘDZYNARODOWY organizm polityczny, zrzeszający rządy wszystkich suwerennych państw świata jest dziś niezbędnym elementem ładu światowego. Po dwóch wojnach światowych nie ma już chyba zdrowego na umyśle człowieka, który by sobie nie uświadamiał konieczności stałego organizowania pokojowych form współzycia między narodami.

Temu zadaniu miała służyć zbudowana w latach wojny koncepcja Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nie będziemy tu przypominać ani wielkich nadziei jakie ona obudziła w dwóch powojennych, ani jej smutnej dekadencji w ciągu ostatnich lat. Chcemy tu na wstępie tylko podkreślić jej cechę najistotniejszą. Każdy organizm międzynarodowy służy do zawierania zdrowych kompromisów między niezależnymi i suwerennymi stronami. Próba narzucenia decyzji drogą formalnego głosowania sprowadza taki organizm międzynarodowy do fikcji, gdyż żaden rząd nie ugnie się przed formalną decyzją większości, jeżeli jej racji nie uzna. Ponadto, ponieważ większość państw na świecie dzisiaj, przede wszystkim jest reprezentowana przez drugorzędne i niesamodzielne rządy kapitalistyczne, już nawet nie w skali Belgii, Irlandii, czy Irlandii, lecz w skali Hondurasu, Filipin, Guatemali, lub takich jak „rząd” Czang-Kai-szeka na Formozie — przeto każde głosowanie sprowadza się w istocie do obliczenia w większości głosów fikcyjnych.

W tym stanie rzeczy prawo weta gwarantowało obowiązkową jedno-myślność wielkich mocarstw. Mówiąc językiem najprostszym — prawo weta oznacza zobowiązanie, że decyzje ONZ będą wyrazem kompromisów politycznych osiągniętych na drodze negocjacji przede wszystkim wielkich mocarstw.

Z chwilą gdy ta zasada została złamana rola ONZ spadła niemal do zera. „Mechaniczna większość” uczyniła z każdego głosowania powolne narzędzie polityki amerykańskiej. Stanowiska delegacji radzieckiej,

rzecz prosta, takie demonstracje w niczym nie naruszają. Cała praca tego międzynarodowego organizmu znalazła się w impasie. Ciężar odpowiedzialności przesunął się automatycznie z obrad ONZ ku bezpośrednim rozmowom pięciu wielkich mocarstw.

Apel Światowej Rady Pokoju o pakt o nieagresji między Związkiem Radzieckim, Chinami Ludowymi, Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią i Francją — jest prostym wyciągnięciem konsekwencji z wewnętrznej niemocy ONZ.

Dziś obserwujemy sesję Zgromadzenia Generalnego Narodów Zjednoczonych. Potwierdza ona tylko obraz rozkładu tej instytucji. Zamiast, by rozważane tam propozycje pokojowe stały się podstawą spokojnej ale twórczej pracy dyplomatycznej — stały się one odeskoczną dla licznych rozgrywek. Amerykański Sekretarz Stanu występuje z „sensacyjnymi” propozycjami tak, jak gdyby rząd jego nie słyszał nic o parokrotnie ponawianych propozycjach Związku Radzieckiego. Jednocześnie, dla podkreślenia „dobrej woli” i „pokojowych” intencji strony amerykańskiej, montuje się na terenie ONZ tego rodzaju prowokacje, jak skargi Kuo-mintangu lub reżimu Tito przeciw Związkowi Radzieckiemu, lub też, za kulisami obrad — militarystyczna konferencja pod przewodnictwem amerykańskiego ministra wojny.

Postawmy sprawę jasno. Gdyby Stany Zjednoczone rzeczywistości reprezentowały w tej chwili po prostu inną koncepcję propozycji rozbrojeniowych — zaczęłyby sesję od próby stworzenia atmosfery sprzyjającej rokowaniom. Przeciwnie, zarówno prowokacyjne wnioski, jak i głosy poszczególnych mówców dyspozycyjnych wobec Sekretariatu Stanu, jak delegata Filipin czy Australii wskazują jak dalece planowo sprowadza się dziś autorytet ONZ do stanu całkowitej fikcji.

Delegat Związku Radzieckiego odpowiedzialny na te manewry w sposób najprostsz — powtórzył zreszła zasadniczych twórczych pokojowych

propozycji, głoszonych konsekwencje od paru lat, które zyskały sobie postać setek milionów podpisów na całym świecie. Oto ich zasadnicze zrzęby:

1. bezwarunkowy zakaz użycia broni atomowej, zaprzestanie badań bomby atomowej, użycie już istniejących bomb jedynie dla celów pokojowych, ustalenie ścisłej kontroli międzynarodowej nad wykonaniem tego zakazu;
2. ograniczenie o 1/3 w ciągu roku zbrojeń i sił zbrojnych pięciu mocarstw;
3. ogłoszenie przez WSZYSTKIE rządy WSZYSTKICH danych dotyczących obecnego stanu zbrojeń łącznie z danymi dotyczącymi bomb atomowej oraz baz wojennych zainstalowanych na obcych terytoriach;
4. utworzenie w ramach Rady Bezpieczeństwa specjalnego organu kontroli międzynarodowej dla czuwania nad ścisłym wykonaniem uchwał.

Realizacja tych postulatów w oparciu o ONZ jest jednak możliwa tylko wówczas, jeśli strona amerykańska zdecyduje się wreszcie na serio pomyśleć o perspektywach pokojowego współzycia, jeśli, z drugiej strony decydują się przywrócić Organizacji Narodów Zjednoczonych jej treść istotną — rolę organizmu służącego użyciu na płaszczyźnie porozumienia, ułatwiającej tym samym kontakty i pokojowe petratkacje między wielkimi mocarstwami i innymi państwami, podzielonymi dziś na dwie różne orientacje społeczne — na świat kapitalizmu i świat budującego się socjalizmu.

## ST. KONARSKI

człowiek i dzieło

Juliusza Nowak-Dłużewskiego

z przedmową Konrada Górskiego

Cena zł 20.—

Wysyła Biuro Sprzedaży Instytutu Pax\* do wpłacenia na konto PKO

1-4515



Janusz ZABŁOCKI

# PERSONALIZM I REWOLUCJA

„Ażeby włączyć personalizm w dramat historyczny naszego czasu nie wystarczy mówić: osoba, wspólnota, człowiek pełny itd. Trzeba również mówić koniec burżuazji zachodniej, początek struktur socjalistycznych, rola proletariatu i dokładniej jeszcze dokonywać — rok po roku — analizy sił i możliwości. Inaczej personalizm stałby się ideologią „czynienia wszystkiego”, obdartą ze swej zbroi rewolucyjnej, oddaną w niewolę konserwatywnego i reformistycznego leninistwa. Zamiast być filozofią-włóczęgą, jak ją nazywano, stałby się filozofią-maską, w sensie właściwym mistyfikacją”.

(Emanuel Mounier).

LIST ten, drogi Piotrze, będzie moją odpowiedzią na to wszystko, co mi powiedziałeś o swojej postawie, o swoich intelektualnych poszukiwaniach i duchowych rozterkach. Możliwe, że nie odniesie on skutku, jaki chciałbym widzieć. Możliwe, że poglądy, które wyznaję nie znajdują w nim wyrazu dość przekonującego, aby na Ciebie mieć wpływ. Niemniej jednak każda sposobność wymiany zdań między nami, którzy przyjmując te same założenia światopoglądowe i filozoficzne dochodzimy do odmiennej postawy praktycznej, powinna być wykorzystana. Dyskusja, choćby nie od razu była owocna, powinna trwać.

Jesteś katolikiem. Deklarujesz się jako tomista i personalista. Uznajesz, że celem naszej społecznej aktywności winno być społeczeństwo, które by w pełni respektowało godność osoby ludzkiej. Chcesz, by Twoje stanowisko polityczne było dyktowane zasadami etyki. To są założenia, które i ja przyjmuję. Ale zaraz dalej zaczynają się różnice. Ponieważ we współczesnym konflikcie — jak twierdzisz — obu walczącym klasom obce jest zarówno chrześcijańskie pojęcie osoby ludzkiej jak i pojęcie prymatu chrześcijańskiej etyki w życiu społecznym, przeto stanowisko Twoje sprowadza się faktycznie do uchylania się od wyboru, do unikania zajęcia stanowiska. Dziwna rzecz: gdy ludzie zaangażowani po każdej z „niechrześcijańskich” stron używają całą energię, na jaką ich stać, na obiektywizację swoich przekonań, na przetworzenie rzeczywistości na miarę swojej myśli, w tym samym czasie energia Twoja (a jak twierdzisz również ogromnej liczby katolików) pochłaniana jest głównie przez wysiłek wyobcowywania się z rzeczywistości, wysiłek systematycznego dławienia w sobie jakichkolwiek pokus zaangażowania się, już nie tylko praktycznego, ale nawet i emocjonalnego, po stronie którejkolwiek z dwu sił, na które jest rozdarta. Ten swoisty heroizm założonych rąk (pomiędzy już kwestię czy jest on w stanie czystym, nieskażonym mimowolną stronniczością, osiągalny), ten swoisty heronizm, który wymaga przezycięcia w sobie wszystkich odruchów solidarności z dążeniami otaczających ludzi i wszelkich aspiracji do wyciśnięcia na rzeczywistości piętna własnej świadomości — wieść — nie przychodzi ci łatwo. A przecież jest on w Twoim wyobrażeniu jedyną dopuszczalną drogą, jedyną możliwą postawą,

którą nakazuje wierność przyjętym przez Ciebie założeniom.

Otóż sądzę, że w łańcuchu rozumowania, który dzieli Twoje założenia od Twojej postawy praktycznej, jest jakiś ukryty błąd, który zniekształca i fałszuje ostateczny jego wynik. Gdzie jest ten błąd? Przejdźmy tę całą drogę tak jak ja ją pojmuję.

## PRAWO DO OSOBOWOŚCI PEŁNEJ

CZŁOWIEK jest osobą, ale jest nią w sposób potencjalny. Jego naturalnym prawem, które mu przysługuje wobec społeczeństwa, jest prawo do przekształcenia swojej potencjalnej osobowości w osobowość pełną.

Ten rozwój osobowości idzie w wielu kierunkach, wykształcając wszystkie uzdolnienia cielesno-duchowej struktury człowieka. Jest to więc naprzód rozwój danych mu przez naturę cielesnych sił i zdolności; dalej rozwój intelektualny i moralny — rozwój rozumu, który poznaje świat operując materiałem dostarczonym mu przez zmysły oraz rozwój woli, polegający na wykształceniu w niej stałych skłonności do spełniania zaleceń rozumu — na wykształceniu charakteru.

Nie będzie niczym dziwnym z punktu widzenia tomistycznego podkreślenie, że ten rozwój osobowości, który jest żywiołową tendencją człowieka — tendencją, która musi być uszanowana przez życie społeczne — jest uzależniony w sposób istotny od stopnia wyzwolenia się człowieka z niewoli przyrody. Człowiek jako jednostka gatunku jest częścią przyrody tak samo jak mikrob, roślina czy zwierzę. Ale dzięki posiadanym uzdolnieniom szczególnym własnej natury, to jest rozumowi i wolności woli, człowiek nie zamyka się w granicach przyrody, ale ponad nią wyrasta. Nie musi się biernie poddawać zastanemu otoczeniu, które mu dostarcza określonych warunków rozwoju, ale może zastane otoczenie przekształcać, uzyskując korzystniejsze warunki. Dzieje ludzkości są niczym innym jak właśnie długotrwałym i żmudnym dźwigniem się człowieka ponad przyrodę poprzez proces stopniowego jej opanowywania. Najbardziej elementarnym sprawdzianem tego procesu dźwignia się ponad przyrodę a zarazem warunkiem, który określa możliwości rozwoju osobowości, jest stopień doskonałości ludzkich narzędzi pracy. Ich udoskonalenie jest zarazem wyzwoleniem człowieka z niewoli przyrody, bowiem zwiększając wydajność jego pracy i skracając czas niezbędny dla zdobycia dóbr koniecznych do zaspokojenia elementarnych potrzeb człowieka pozostawia mu więcej sił na kształcenie tych uzdolnień, których nie rozwija praca produkcyjna.

Ale proces przystosowania otoczenia przyrodniczego do potrzeb człowieka niemożliwy jest bez współdziałania większej ilości ludzi. Grupa społeczna zwiększa siły pojedynczego człowieka, pozwalając na podjęcie zadań, których by nie dokonał sam oraz wprowadzając podział pracy. Ale życie społeczne jest konieczne również do kształcenia wszystkich innych uzdolnień człowieka:

dzięki niemu człowiek może za pośrednictwem mowy korzystać z doświadczeń innych ludzi, co zapewnia kolejnym pokoleniom postęp w podboju przyrody; dzięki pomocy i kontroli innych ludzi odbywa się rozwój umysłowy i moralny człowieka, rozwój jego rozumu, uczuć i woli.

Równocześnie z postępowaniem w wyzwalaniu się z przyrody i rozszerzaniem się sfery życia osobowego człowieka narasta stopniowo ludzka wiedza o świecie. Proces poznawania świata, w szczególności zaś poznanie metodą filozoficzną, jest procesem społecznym, do którego kolejne pokolenia opierając się na dorobku poprzedników, dokładają swoją cząstkę. Pojedyncze wysiłki poszczególnych filozofów składają się stopniowo na dorobek ogólny tego największego filozofa, którym jest ród ludzki. Nie ulega wątpliwości, że tak właśnie pojmował filozofię św. Tomasz z Akwinu, który uczynił ze swojej „Summy” kodyfikację całego zdrowego dorobku filozofii od starożytności po wiek XIII.

Ten wszechstronny rozwój człowieka jest niezbędny do tego, by mógł on zrozumieć i podjąć nadprzyrodzone powołanie, które mu zesłał Bóg. By przyjąć Objawienie, stworzenie musi się najpierw własnym wysiłkiem przygotować. „Człowiek z Cromagnon — taką hipotezę stawia Mounier — nie byłby zdolny przyjąć orędzia chrześcijańskiego i dlatego Chrystus przyszedł dopiero w dwieście czy trzysta tysięcy lat po stworzeniu człowieka”<sup>1)</sup>. Dlatego też, o ile Dobra Nowina zwraca się do każdego człowieka z wezwaniem ponadczasnym, które jest wszystkim ludziom wspólne, tak samo każdemu człowiekowi należą się na ziemi takie warunki życia, aby mógł swobodnie rozwinąć swoją potencjalną naturę, przygotowując się do przyjęcia wezwania Bożego.

## OSOBOWOŚĆ A SIŁY PRZYRODY

Celem społeczeństwa ziemskiego jest zapewnienie każdej osobie ludzkiej wolności dochodzenia jej celu osobowego i ponadspołecznego, który uświadomiony czy nie — jest najgłębszą tęsknotą utajoną w naturze człowieka. Ale zastrzec się trzeba, że stworzenie takiego idealnego społeczeństwa, które w postaciach mniej lub więcej mistycznych absorbuje marzenia człowieka na przestrzeni całej historii, nie jest zależne wyłącznie od woli ludzkiej. Takie mniemanie byłoby idealistyczną utopią. Realizacja tego ideału zależna jest również od realnych możliwości, jakie dostarcza w danym momencie historia. Dlatego społeczeństwo respektujące naturalne dążenia osoby ludzkiej jest możliwe do urzeczywistnienia dopiero na określonej bazie dorobku cywilizacyjnego, dopiero na gruncie pewnego quantum wolności, wydartego przyrodzie. Dlatego nie realizuje się ono w dowolnym momencie dziejów jednorazowym aktem woli ludzkiej, ale przygotowuje się powoli i żmudnie w ciągu całej historii rodzaju ludzkiego, przybliża się i dojrzenia niekończącym się ciągiem drobnych realizacji cząstkowych.

<sup>1)</sup> E Mounier — „La foi chrétienne et la civilisation”.

Ten olbrzymi szmat dziejów ludzkości, który mamy za sobą, jest ciągle jeszcze prehistorią człowieka. W ciągu tego czasu człowiek w swojej walce z przyrodą rozporządza techniką tak jeszcze prymitywną, że walka ta pochłania wszystkie niemal jego siły. Osobowość ludzka w człowieku — ten boski pierwiastek, który wynosi go ponad przyrodę — pozostaje w skali społecznej w stanie uśpienia; człowiek pozostaje faktycznie siłą przyrody, walczącą przeciw innym siłom przyrody; bogaty skarbiec utajonych w jego naturze możliwości użytkowany jest jedynie w tym stopniu, jaki wyznaczają potrzeby pracy produkcyjnej.

Niedostateczność środków walki z przyrodą pociąga z sobą w sposób nieunikniony nierównomierność rozwoju różnych części społeczeństwa. Niemożliwość zapewnienia wszystkim ludziom warunków życia, godnych człowieka, sprawia, że aby te warunki sobie zapewnić nie wystarczy korzystać z pracy własnej, trzeba również korzystać do tego z pracy cudzej. Tak więc wyzwolenie z niewoli przyrody mogło się

odbyć tylko za cenę wpręgnięcia innych ludzi do pracy dla własnego dobra, za cenę niewoli społecznej<sup>2)</sup>. Od momentu gdy środki produkcji osiągnęły taki stopień rozwoju, że praca nimi dać mogła pojedynczemu człowiekowi jakąś nadwyżkę pozostającą po zaspokojeniu elementarnych potrzeb, od momentu więc gdy zamiast zabić ujętego członka wrogiego szczepu opłaciło się więcej zatrzymać go w niewoli i przekształcić w zwierzę robocze, przeznaczone wyłącznie do pracy i ograniczone do najbardziej elementarnych potrzeb, ale uwalniające przez wyprodukowaną nadwyżkę od takiej pracy swojego pana i pozwalające mu w pewnym stopniu na swobodny rozwój, od tego czasu ten stan niewoli społecznej części społeczeństwa, za cenę którego druga część wyzwalała się z niewoli przyrody, trwa w zmieniających się postaciach — niewolnictwa, poddaństwa czy najemnictwa — do dnia dzisiejszego. Kolejno zmieniające się ustroje nadają temu stanowi niewoli sankcję prawną i swoją władzą polityczną utrwalają korzystną dla mniejszości reparty-

(Dokończenie na str. 4)

chodzi do pogwałcenia prawa naturalnego i istotnych praw natury ludzkiej, jest sprzeczny z duchem przyniesionym przez Nowy Zakon i został powoli usunięty przez wpływy chrześcijańskie, istnieje on jednak nadal faktycznie w formach mniej jawnych, a nowoczesne pojęcie „proletariatu” na przykład jest właściwie zgodne z pojęciem niewoli w znaczeniu formalnym, tak jak jest ono zdefiniowane przez św. Tomasza<sup>3)</sup> („Trzej reformatorzy”).

Józef SZCZAWIŃSKI

## Opowieść o sercu szarego człowieka

Był sobie szary człowiek.  
Jego życie:  
skok między narodzinami a śmiercią,  
jego czyny:  
pył wapiennych skał,  
jego myśli:  
zawieszony materii w kolbie światła,  
jego serce:  
ziarnko niewiadomej rośliny.

Whijany na zgiełk bitew,  
kaleczony szklanymi władzy  
przesiewany z ręki lewej do prawej  
i prawej do lewej,  
polerujący powierzchnię przyszłości  
by odbijała sytość i spokój —  
zapomniał o kiełkowaniu serca.

Z perspektyw gwiazdnych  
niknęły kolory epok,  
którymi czas uparcie  
malował oporną ziemię.  
Jedynie serce człowieka  
ubranego w barwę banalu,  
wyrósł niepostrzeżenie  
ponad czas, kształt koloru  
i okazało się podobne  
do klamry spinającej  
początek i koniec wszystkich rzeczy.

## 2 listów św. Jakuba

Oto wola zapłata robotników, co  
żeli pola wasze, którąście zatrzymali,  
a wotnie ich doszło do uszu Pana  
zastępów. (Jak. 5, 4).

Nie zniesie ciężaru owoców usychające drzewo.  
Z krzywdą bliźniego łatwiej rodzić się niż umierać.

Ogluchych i ośleptych na wszystko prócz własnej pychy  
nie zdolają ocalić wypukłe kasy i spichrze.

Dni wasze okrągłej monety nie planują,  
przez krąg nocy nie przejdzie żętek zwykłych narodzin i zgonów.

Milosierdzie stwardnieje na oczach wam w kamień i picisk  
Nie nauczone was serca własnego w piersi nosić.

Umiecie szeptać cyfrą, umiecie pieniądzem wołać,  
uszom odkrytym prawdzie obcą jest, wasza mowa.

Głosy krzywdzonych są wyższe od cienia waszych drapaczy.  
Przed gniewem Pana i ludzi — drżycie bogacze.

Postowie: Spod stosu kamieni rosnących  
z wiekiem do wymiaru planet  
ogromniał głos Jakuba  
biskupa Jeruzalem.



# PERSONALIZM I REWOLUCJA

cję dóbr. Historia ludzkości płynie jak gdyby dwoma odrębnymi nurtami. Historia oficjalna staje się historią owej uprzywilejowanej mniejszości, której przerwienie codziennego trudu na barki innych pozwala na uprawianie polityki i sztuki, na prowadzenie wojen i oddawanie się rozrywkom.

## NAJGLEBSZY NURT DZIEJÓW

AL E poniżej tego nurtu historii, opromienionego wszystkimi blaskami światła, toczy się w mrokach nurt inny, który tworzą bezimienne masy, przechodzące przez historię niedostrzeżenie i kładące się kolejnymi pokoleniami niby nawóz, który użyźnia jej glebę. „Nic nam nie mówią dzienniki — pisał o tej in-frahistorii Miguel Unamuno — o milczącym życiu milionów ludzi bez historii, którzy o każdej godzinie dnia i w każdym kraju globu ziemskiego wstają do pracy, sięją i orzą, podobni owym koralowcom na dnie oceanów, które przecież na barkach swej mrówczej twórczości wynoszą nad powierzchnię wód wyspy dziejów. To na tle tego milczenia milionów głos innych nabiera życia i echa. To na głowach olbrzymiej społeczności milczących stają ci, którzy robią hałas w historii”. Na barkach milionów osób ludzkich, których pragnienie życia godnego człowieka zostało brutalnie zdławione w zalążku, osób ludzkich spychanych do egzystencji zwierzęcej, otępiałych od nadmiernej pracy, obezwładnionych strachem przed jutrem i niezdolnych do przyjęcia czegokolwiek, co wykracza poza troskę o chleb powszedni, na piramidzie z umarłych dusz rozkwita wolność garści wybrańców, którym przysługuje dobrodziejstwo warunków godnych osoby ludzkiej, którzy mogą dochodzić prawdy, miłować dobro, cieszyć się pięknem. Gdzież tu miejsce na prawa każdego człowieka? Gdzież tu miejsce na poszanowanie godności ludzkiej uzasadnionej posiadaniem przez najniebezpieczniejszego z tych maluczkich duszy nieśmiertelnej, która jest obrazem samego Boga? „Od tysięcy i milionów lat — pisze gdzieś Duhamel — ludzie cierpią, wszystkie stworzenia żyjące cierpią — jedne w milczeniu, inne wśród płaczu. Czy nie sądzisz, że to tworzy jakiś straszliwy skarbiec i że trudno sobie wyobrazić, aby mógł on zniknąć bez śladu? Myśl, że to całe cierpienie nie miałooby uzyskać kiedyś, później, ulgi i przebaczenia — ta myśl mnie przeraża”.

Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że próżne byłoby formułowanie zbyt pochopnych oskarżeń przeciw przeszłości. Społeczeństwo respektujące godność każdej osoby ludzkiej nie mogło się zrodzić, gdy środki techniczne, którymi rozporządzał człowiek, nie uniezależniały go w dostatecznym stopniu od przyrody. Jak człowiek z Cro-Magnon nie był przygotowany na przyjęcie Ewangelii tak samo człowiek orzący ziemię drewnianą sochą nie mógł urzeczywistnić społeczeństwa personalistycznego. I kto wie, czy w całym tragizmie ludzkości ery prehistorycznej nie był zawarty konieczny choć bezlitosny dla wielu ratunek. Wiadomo, że dopiero ustrój niewolniczy, zwalniając część ludności od pracy fizycznej na roli, skierował aktywność ludzką na stworzenie rzemiosła, na pracę umysłową, rozwój nauki i sztuki. Czyż u-

przywilejowana mniejszość — prawda, że za cenę morza cierpień pozostałej reszty społeczeństwa — nie staje się przez nabycie warunków własnego rozwoju (których by nie miał nikt, gdyby nie wprowadzenie nierówności społecznej) czynnikiem przyspieszającym rozwój ogólny, a więc i wyzwolenie klas uciskanych? Temu poglądowi można by przyznać słusność, gdyby nie liczne fakty historyczne świadczące, że mniejszość owa w innych wypadkach staje się hamulcem rozwoju ogólnego, walcząc o zachowanie swoich przywilejów, mimo że postęp w technice eksploatacji przyrody dostarczał obiektywnych możliwości bardziej sprawiedliwego układu społecznego.

Czyż znaczy to, że cierpienia ludzkie w czasie, gdy nie dojrzała jeszcze przemiana społeczna, miałyby iść na marne?

Straszliwy skarbiec bólu, nagromadzony w przeszłości, pozostałby jakąś bezsensowną i okrutną ofiarą, gdyby nie Odkupienie. Chrześcijańska Dobra Nowina zstąpiła na ziemię w najgłębszą noc ucisku i niewoli. Nie wzywała ona do przewrotu społecznego. Ale i nie wzywała do uległości i pogodzenia się z rolą zwierzęcia roboczego, nie usiłowała przytępić naturalnej wrażliwości człowieka na zło otaczającego świata: uczyć przyjmować cierpienia nieuniknione jako ekspiację, wymagającą rekompensaty w porządku nadprzyrodzonym, chrześcijaństwo nie porywało dołów społecznych do, beznadziejnego w owych warunkach buntu a jednocześnie pracowało dla przyszłości kierując się bowiem do każdego z tych maluczkich i przypominając mu, że jest Synem Bożym, i że ma duszę nieśmiertelną, która jest więcej warta niż cały wszechświat, chroniło świat niewolników i nędzarzy przed ztratą praw należnych osobie, utrzymywało i wzmagalo ferment moralny, który z czasem — gdy świat dojrzeje — stanie się siłą wspólnych nam rewolucji.

## DROGA DO WOLNOŚCI WIEDZIE PRZEZ WALKĘ

CZASY dzisiejsze są momentem przelomu. Proces niezależnienia się od przyrody dzięki technice osiągnął taki stopień, że powstają realne możliwości zapewnienia każdemu tej sfery wolności rozwoju, która dawniej dostępna była nielicznym. Aby wieść życie godne człowieka nie musi się już takiego życia odmawiać drugiemu człowiekowi.

Wyzysk człowieka przez drugiego we wszystkich postaciach, który dotąd był twardą koniecznością, staje się odąd bezsensownym okrucieństwem. To co było dotychczas jedynie nieiszczalnym marzeniem ludzkości zakutej w kajdany, staje się możliwością do urzeczywistnienia. Udręczone masy świata pragną przestać być częścią przyrody, żyjącą wegetacją zwierzęcia; pragną dać wyraz tłumionej tak długo tęsknocie za człowieczeństwem. Poczucie praw należnych człowiekowi, przygluszone jak długo były niemożliwe do urzeczywistnienia, teraz rozplamienia się w pożar, który ogarnia masy z dna społecznego. Przebudź się, milionowa armia niewolników! Bije ostatnia godzina wszelkiej niewoli. Prehistoria ma się przestoczyć w historię.

Droga do wolności wiedzie jednak przez walkę. Nie wystarcza sama świadomość, że przemiana

(Dokończenie ze str.3)

jest możliwa. Trzeba podjąć wysiłek urzeczywistnienia tej możliwości wbrew wszelkim przeszkodom i oporowi klas dotąd uprzywilejowanych. Wysiłek ten tkwi w korzeniach w najgłębszych złożach osobowości człowieka. Obiektywnym przesłankom rewolucji musi wyjść naprzeciw osobista decyzja człowieka, który angażuje się całkowicie w historyczne zadanie. Apelowi historii osoba ludzka musi odpowiedzieć „jestem”. Odpowiedź ta jest wyborem; jest potwierdzeniem prawa do rozwoju własnej osobowości, przyjęciem go za coś, o co warto walczyć i czemu warto poświęcić życie. Co więcej — jest samym rozwojem, ponieważ osobowość ludzka rozwija się nie przez samotnicze pielęgnowanie własnego „ja”, ale przeciwnie — rozwija się w tej mierze w jakim zapomina o własnym „ja” w służbie czemuś, co jest ponad nim.

Rewolucyjna przebudowa społeczeństwa niemożliwa jest bezto bez przebudzenia osobowości w każdej z jednostek tworzących masy. Przed każdą z tych jednostek staje zadanie zrzucenia z siebie przygniatającego brzemienia dnia wczorajszego i dania odpowiedzi na apel historii. Dlatego walka klasowa, która poprzedza rewolucję, powinna być walką o osobę ludzką. Klasy, które czerpały swą wielkość z unicestwienia pozostałej części społeczeństwa, robią wszystko, by nie dopuścić do przebudzenia się duszy w tym, co dotąd było tylko częścią przyrody. „Część przyrody spowita jest jeszcze w spokojny i rytmiczny sen, nie zna radości i pozbawiona jest wszelkich kłopotów — głosi Charles Maurras. Lecz posłuchajmy naszych filantropów, którzy starają się rozbudzić ją za wszelką cenę. Bądźcie sobą, nieszczęsne istoty! Trzeba mieć duszę, trzeba być naprawdę sobą! Jeśli tylko nasi filantropowie znaleźli odpowiedni sposób, to swoimi przemówieniami wyzwoliliby nawet bydło pociążowe. Nie szanują oni błogosławionej głupoty tych, których zachęcają do życia. Pogarda ludzka winna by napiętnować tego, ktokolwiek wywołałby pierwsze pożądania w umyśle lub wewnątrzkościach istoty kierującej się instynktem i ograniczył cenny przywilej, jaki niekiedy przysługuje tym błogosławionym, niosąc im śmierć zanim jeszcze zaczęli żyć”.

Współczesna burżuazja, której przypadł w udziale wątpliwy zaszczyt obrony przeżytków prehistorii, pragnie za wszelką cenę zmazać i ukryć moralny charakter konfliktu. Według niej jest on konfliktem wyłącznie egoizmów materialnych. W myśli tej teorii — gdy inne sposoby zawodzą — usiłuje się rozładować ruch rewolucyjny uciemiężonych mas rzucaniem ochlapów z pańskiego stołu; jak gdyby podwyższenie płacy było najwyższą aspiracją robotnika, poza którą kończą się jego tęsknoty.

Współczesny ruch robotniczy wyrasta z czegoś więcej niż ze świadomości pogwałconych interesów pracownika: wyrasta on w niemiejszym stopniu ze świadomości krzywdy społecznej — ze świadomości pogwałcenia ugruntowanego w robotniku przekonania o jego prawach jako

Charles Maurras — „Chemin de Paradis”

człowieka. Ona to właśnie, poruszając w każdym człowieku naturalne pojęcia etyczne, nadaje walce nowoczesnego proletariatu charakter czegoś więcej niż zatargu ekonomicznego — nadaje jej walor moralny dążenia do wyrównania niesprawiedliwości. Ona to właśnie, sięgając w najgłębsze tajniki osobowości robotnika, nie tylko potęguje wolę walki przeciw niesprawiedliwemu porządkowi, ale daje mu moc do prowadzenia tej walki nawet wtedy, gdyby ta walka wymagała poświęcenia własnych, jednostkowych interesów. Gdyby współczesny konflikt klasowy nie miał określonego wymiaru etycznego, czyż można by zrozumieć źródło tego niesłychanego heroizmu, którego tyle przykładów znajdujemy w historii ruchu robotniczego? Albo czy można by inaczej wytłumaczyć zjawisko przechodzenia do obozu walczącego proletariatu tego wszystkiego, co w klasie przeciwnej jest najbardziej uczciwe i szlachetne?

Zwycięstwo klasy robotniczej to nie tylko zastąpienie panowania jednej klasy panowaniem drugiej; to zniesienie wszelkich barier materialnych dzielących społeczeństwo na klasy, zniesienie struktur, które gwałciły nasze przekonania o prawach należnych z natury każdemu człowiekowi. Zwycięstwo idei socjalistycznej to nie tylko zwycięstwo jednej klasy nad drugą; to zwycięstwo klasy uciskanej, a więc zarazem prz. wrócenie pogwałconej sprawiedliwości. Dlatego sprawa wyzwolenia klasy robotniczej musi być sprawą każdego, kto pragnie, aby w życiu społecznym zapanowały wartości moralne. Musi to więc być sprawa, drogi Piotrze, zarówno Twoja jak moja.

## FAŁSZYWY DYLEMAT

SOCJALIZM nie jest jednak tylko ruchem mas ludowych, a więc tylko praktyką. Praktyka bez teorii byłaby ślepa; toteż szuka ona teorii, która by wytłumaczyła prawa rozwoju historycznego i określiła środki, jakimi ma się dokonać przekształcenie rzeczywistości społecznej. Taką teorię walczący proletariatus znajduje w marksizmie.

Marksizm określa cele dążenia mas robotniczych do pełnego człowieczeństwa zgodnie ze swoimi założeniami filozofii materialistycznej. Stąd między jego poglądami a naszymi istnieją zasadnicze różnice. Nam, wychowanym na filozofii tomistycznej musi się w szczególności nasycać zastrzeżenie, że osiągnięcie struktury bezklasowej społeczeństwa pozostawi nierozwiązane liczne problemy społeczno-moralne, że osiągnięcie przez ludzkość tego etapu w jej historycznym pochodzie nie przesądzi jeszcze o całej pozostałej drodze dziejowej. Czy dążenie do pełni osobowości, nie będąc automatycznym wynikiem faktu posiadania wolności, nie wymaga osobistego wysiłku przewyciężenia w człowieku skłonności do zła? Czyż zatem owo dążenie człowieka do podporządkowania przyrody swojej świadomości, dążenie, które wypełniało epokę prehistorii, nie powinno być dopełnione analogicznym dążeniem do opanowania swojej świadomością własnej natury i czy nie to ostatnie dążenie winno stać się treścią epoki historii? Oto niektóre z pytań, na które staramy się odpowiedzieć sprzecywiście.

Te rozbieżności stają się zrozumiałe, jeśli zważy się odmienność założeń filozoficznych tomizmu i marksizmu.

Zasadniczym punktem różnic jest fakt nie przyjmowania przez marksistowskie poznanie Objawienia jako otwartego wprost przez Boga źródła prawdy, które ma dopełniać i prostować wyniki naszego poznania rozumowego. Stwierdzając ten fakt, uzasadniony odmiennością założeń światopoglądowych, równocześnie musimy sobie uświadomić, jak wielką nakłada on na nas odpowiedzialność za nasz udział w dziele wyzwolenia mas.

Wiem, że Ty, Piotrze, w tym ostatnim fakcie widzisz argument decydujący dla swojej postawy. Gdy ja poprzestaję na wniosku, że katolik i tomista winien apróbować ożywione poczuciem słusnych praw dążenie mas uciskanych w pełni człowieczeństwa, choć nie musi przyjąć tych sformułowań teoretycznych, w których to dążenie wyraża, o ile są konsekwencją filozofii materialistycznej. Ty to rozróżnienie, niezbędne dla precyzyjnego określenia własnej postawy, przekształcasz w przeciwnieństwo.

Różnice między nami nie są różnicami doktrynalnymi — wynikają one z różnego pojmowania czym jest socjalizm.

Socjalizm rozumiany przez nas realistycznie jest przede wszystkim praktyką wynikłą z reakcji moralnych — zjawiskiem historycznym społecznego buntu mas robotniczych przeciw ustrojowi, który w sposób systematyczny odmawiał im ludzkich warunków bytu. Ten proces społeczny jest pierwotny w stosunku do kształtu ideologicznego jaki przybiera. To nie idea socjalizmu zrodziła bunt społeczny — to bunt społeczny zrodził ideę socjalizmu. Istotną funkcją teorii jest zadośćuczynić praktycznym potrzebom walki proletariatus czyniąc ją przez to świadomą i skuteczną. Twierdzimy, że angażując się w praktyczną walkę o socjalizm, można równocześnie zachować pewną odrębność poglądów w poszczególnych punktach, w szczególności różnice w przesłankach filozoficznych, które to zaangażowanie motywują.

Nasze zaangażowanie w walkę, jaką toczą dziś na całym świecie masy pragnące się wydobyć z otchłani nędzy i ucisku, nie jest więc oparte o założenia ideologii utopijnej czy eklektycznej. Określiłmy jasno zarówno naszą postawę jak i drogę po której zamierzamy ku niej kroczyć.

I jeżeli byłoby naiwnością sądzić, że zadanie to jest łatwe i szybko osiągalne, to przecież małością byłoby nie podejmować go w chwili, gdy rozdarły przeciwieństwami świat zdaje się wolać o naszą — Twoją i moją obecność w toczącej się walce, walce o najdonioślejsze ze zwycięstw w historii.

Janusz Zabłocki

## POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet

Lubelski



Tadeusz MYSLIK

# Gospodarka planowa a osobowość ludzka

**K**AZDA formacja społeczno-gospodarcza wypracowuje sobie własne metody działania, odpowiadające poglądom klasy rządzącej w danej formacji, będące niejako wykładnikiem i gwarancją realizacji jej interesów.

Ustrój kapitalistyczny w swojej pierwotnej formie również posiadał taką metodę; było nią skrajnie indywidualistyczne założenie wolnej konkurencji, założenie nieingerencji oparte o przekonanie, że jednostki działając we własnych, egoistycznych celach w sumie działają w interesie ogólnym. Pierwotna forma kapitalizmu bardzo szybko uległa rozkładowi, przeradając się w ustrój, w którym decydującą rolę zaczęły odgrywać trusty i monopole. Spowodowało to w wyniku oczywisty kryzys metody gospodarowania. Wolna konkurencja stała się przeżytkiem i musiała zostać zastąpiona. Przemawiała za tym smutna rzeczywistość gospodarza, kształtowana przez ustawiczne wstrząsy, nadprodukcję, bezrobocie i zubożenie części społeczeństwa, przemawiała wreszcie za tym najsukcesyjniej rosnący i coraz potężniejszy ruch robotniczy.

Teoretycy kapitalizmu zaimprovizowali więc metodę, która miała zastąpić skompromitowane założenia wolnej konkurencji. Zaktywizowano aparat państwowy, którego rola ograniczona była do tej pory jedynie do funkcji „policjanta” i nałożono nań obowiązki realizowania tzw. gospodarki kierowanej. Jesteśmy świadkami jak od szeregu lat w państwach kapitalistycznych metoda gospodarki kierowanej boryka się z zewnętrznymi sprzecznościami oraz z niezliczonymi i nieprzewidywalnymi trudnościami zewnętrznymi, stosując naprzemian politykę pozornych ustępstw i kompromisów oraz bezwzględnej uległości wobec wielkiego kapitału.

Rodząca się formacja socjalistyczna jako jeden z naczelnych celów postawiła sobie wypracowanie własnej metody gospodarowania. Jest to metoda, która ma wyeliminować kryzys nadprodukcji i stworzyć właściwą platformę przebudowy i rozbudowy gospodarczej oraz rozwoju społecznego. Metodą tą jest gospodarka planowa.

Podstawą tej gospodarki, jak ją definiuje w swojej pracy „O planowaniu” Tadeusz Stawiński, jest plan zawierający „dokładnie, w konkretnych liczbach, określenie wszystkich czynności gospodarczych, jakie w określonym czasie mają być dokonane” oraz ściśle jego połączenie z wykonaniem. Plan przez swoją wszechstronność likwiduje kryzys nadprodukcji i likwiduje bezrobocie, koordynuje wszystkie szczeble i odcinki gospodarowania poprzez uzgodnienie wykonywanych na nich zadań gospodarczych.

W każdej kolejnej formacji społeczno-gospodarczej realizowana metoda działania pozostaje w pewnym mniej więcej określonym stosunku do sprawy rozwoju osobowości ludzkiej. I tak w ustroju wolnokonkurencyjnym kształtujące się żywiołowo niezależnie od woli i świadomości stosunki produkcji, tworzące z początku jednostkowych wynik przez nikogo nie zamierzony, nie pozostawiają w istocie miejsca na współudział w ich tworzeniu osobowości ludzkiej. W odróżnieniu od tego w ustroju gospodarki planowej stosunki produkcji tworzone są w sposób świadomy. Oto jak problem ten scharakteryzowany jest przez ekonomistę-marksistę:

„Jeżeli rozwój sił wytworzonych w łonie kapitalizmu, przygotowujący materialne przesłanki socjalizmu, odhyla się żywiołowo, to po zdobyciu

przez proletariaty władzy politycznej budowa nowych stosunków produkcji na stworzonej już przez kapitalizm bazie materialnej oraz rozwój samych sił wytwórczych odhyla się w sposób świadomy. Socjalistyczny system gospodarczy nie może ani powstać, ani rozwijać się żywiołowo, samorzutnie, bez aktywnej, świadomej działalności mas rewolucyjnych”<sup>1)</sup>.

To przejście od stosunków gospodarczych kształtujących się niezależnie od świadomości i woli ludzkiej do stosunków kształtowanych przez świadomość i wolę człowieka, należy bez wątpienia do największych chyba osiągnięć osobowości ludzkiej na przestrzeni historii.

Obok swoich niewątpliwych korzyści gospodarka planowa stawia jednak pewne wymagania, które, jak się na pierwszy rzut oka wydaje, stanowią konflikt pomiędzy potrzebami społeczeństwa a potrzebami osobistymi człowieka, chociażby przez sam fakt, że są zaprzeczeniem gospodarczej „wolności” działania.

Owa pozorna sprzeczność potrzeb da się sprecyzować w dwu zasadniczych punktach:

a) w problematyce właściwego miejsca jednostki w procesie produkcji,

b) w problematyce zaspokojenia potrzeb konsumpcyjnych.

Wolna konkurencja i metody pośrednie holdowały zasadzie dwustronnej umowy pracownika z pracodawcą. Była to jednak w istocie wolność formalna. Warunki społeczno-gospodarcze, szczególnie przewaga ekonomiczna przedsiębiorcy będącego właścicielem środków wytwarzania, determinowały postępowanie obu stron. Wolność pracy sprowadzona została w tym wypadku do wolności śmierci głodowej, jeżeli robotnik nie przyjął dyktowanych mu przez pracodawcę warunków.

Gospodarka planowa tej pozornej wolności przeciwstawia co prawda podyktowane względami realizacji ogólnych celów planu i całości polityki gospodarczej, przepisy o planowym zatrudnieniu i częściowym zapobieganiu płynności kadr, ale pozostawia wolność wyboru zawodu zwiększając niesłychanie wachlarz zawodów dostępnych.

Znacznie więcej trudności następuje z zagadnieniem zaspokojenia konsumpcyjnych potrzeb ludności. Jak słusznie stwierdza cytowany już wyżej Tadeusz Stawiński „upodobania ludzi zmieniają się bardzo szybko, a jeśli chodzi o ludzi przeciętnych, odbiorców produkcji masowej, zmieniają się masowo”. Nic więc dziwnego, że niejednokrotnie plany gospodarcze w istocie nie mogą dogonić zmian w upodobaniach ludzkich. Stwarza to niebezpieczeństwo konsumpcji przymusowej lub co gorsze pewnych niedoborów towarowych i odwrotnie zamrażania zapasów. Ten argument bywa skwapliwie wykorzystywany przez liberalizujących przeciwników gospodarki planowej.

Problem jest oczywisty i niewątpliwie ważki. Na przekór jednak temu, co twierdzą zbyt gorliwi diagnosty, nie świadczy on bynajmniej, że błędna jest sama metoda a wskazuje jedynie na mniej lub więcej przypadkowe jej niedomagania.

Tryb planowania wstępnego biegnie od podstawowych ogniw gospodarki aż do jej organów centralnych i ma za zadanie uwzględnić wszystkie momenty decydujące o dostosowaniu produkcji dóbr konsumpcyjnych do potrzeb odbiorcy. Równoległe do projektu planów produkcji sporządzony zostaje plan zbytu, który uwzględniać winien dostrzeżone

i przewidywane potrzeby konsumenta. Plan zbytu staje się przez to wyrazem potrzeb konsumenta, staje się materialem do merytorycznej korekty planów produkcji, oczywiście w granicach możliwości produkcyjnych. Wszystkie błędy popełnione na tym odcinku są wynikiem bądź to niedostatecznej jeszcze elastyczności metody, bądź też zwykłych ludzkich niedociągnięć kryjących się pod postacią biurokratyzmu, bezdusznego formalizmu czy po prostu nieumiejętności.

Pamiętać musimy również, że polską gospodarkę planową cechuje w dobie obecnej, podobnie zresztą jak cechowało to gospodarkę radziecką w pierwszych latach po rewolucji, jeszcze znaczne opóźnienie w rozwoju technicznym. Stąd konieczność industrializacji, wysoka stopa inwestycji i prymat produkcji środków wytwarzania przed produkcją artykułów spożycia. Przy równoczesnym wzroście siły nabywczej ludności powoduje, że plan nie zawsze pokrywa wszystkie potrzeby konsumenta.

Wszystkie te trudności okresu przejściowego nie świadczą jednak o błędzie w metodzie. Przeciwnie, można się spodziewać, że metoda ta po przezwyciężeniu wszystkich napotykanym trudności doprowadzi do założonego przez siebie celu.

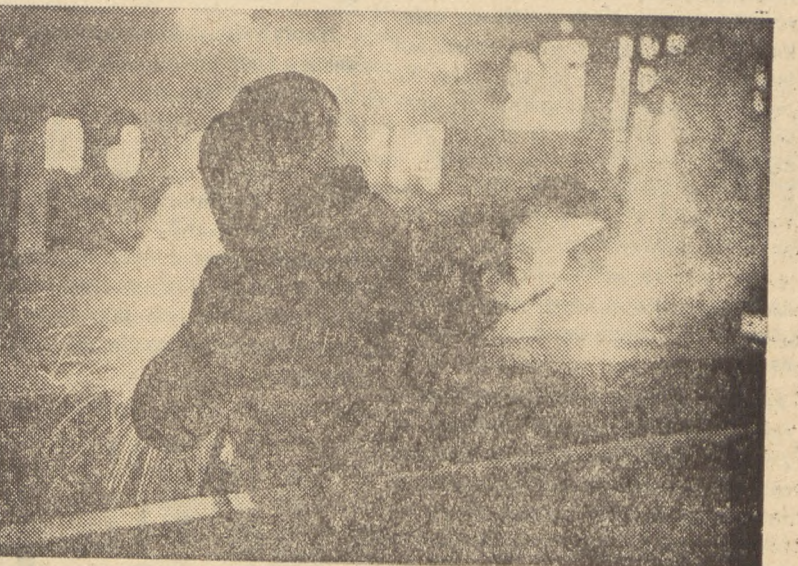
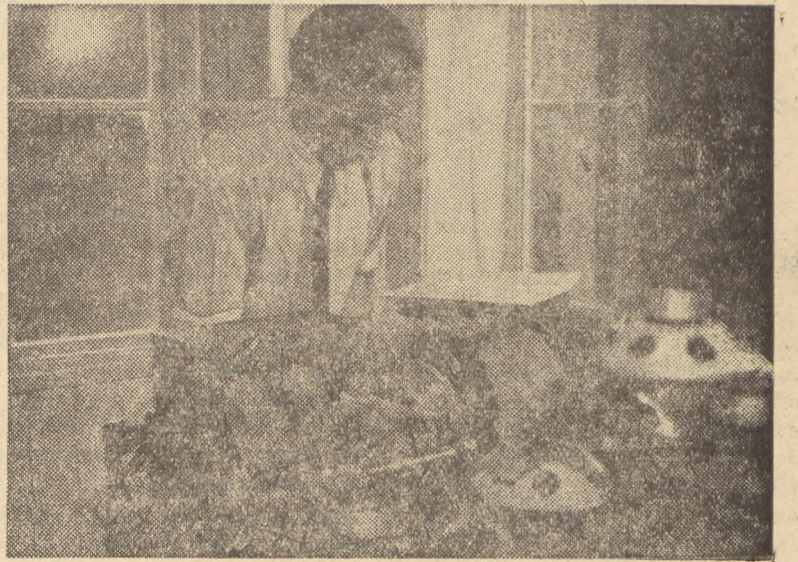
Czy zatem po przeanalizowaniu i odparciu stawianych pod adresem gospodarki planowej zarzutów, możemy uznać ją za metodę stwarzającą pełne możliwości rozwoju osoby ludzkiej?

Odpowiedź ma charakter złożony. Z jednej strony jest oczywiste, że zaangażowanie człowieka w realizację planów gospodarczych, udział w socjalistycznym współzawodnictwie, dążenie do podnoszenia wydajności pracy — absorbuje coraz to bardziej człowieka w kierunku zadań produkcyjnych. Praca produkcyjna zaś niewątpliwie nie wyczerpuje wszystkich aspiracji osoby ludzkiej. Tego zresztą planowanie bynajmniej nie neguje. Pozostaje tylko otwarte pole do dyskusji nad szerokością i wewnętrzną harmonią tych aspiracji. Z drugiej strony jednak — wbrew temu co mówią przeciwnicy gospodarki planowej — część produkcyjna pracy ludzkiej nie jest jednak z punktu widzenia duchowego rozwoju osoby ludzkiej zmarnowana. Sprawia to właśnie świadomy charakter procesów gospodarczych w nowym ustroju, wymagający świadomego w nich współudziału, odpowiedzialności za ich wyniki, obowiązkowości i gotowości do poświęceń dla wspólnego dobra. Wszystko to są czynniki, które osobowość ludzką niesłychanie aktywizują.

Jednakże dla każdego katolika jest oczywiste, że ani produkcja, ani wspólne dobro doczesne nie są dla człowieka dobrem najwyższym. Z punktu widzenia katolicyzmu są to jedynie cele pośrednie, etapy na drodze do osiągnięcia celu ostatecznego, którym jest zbawienie duszy; cele pośrednie w tym znaczeniu, że służba im pozwala na dostarczenie człowiekowi optymalnych warunków do osiągnięcia celu ostatecznego.

W naszym przekonaniu zorganizowana aktywność mająca na celu wspólne materialne dobro doczesne nie stoi w merytorycznej sprzeczności do celów nadprzyrodzonych.

Jakkolwiek w rozumieniu celów aktywności materialnej człowieka zachodzą oczywiście różnice między punktami widzenia materialistycznym a spirytualistycznym — sama zasada planowania w gospodarce, świadomego i celowego badania dobrobytu — roszszerza a nie spycha osobowość człowieka. Tadeusz Myslik



<sup>1)</sup> B. Glezerman: „Marksizm-leninizm o bazie i nadbudowie”.



Janina KOLENDO

Lena wysunęła spod koca zniebniętą rękę w poszukiwaniu chustki. Opuchnięte gardło, zażwawione oczy i ciągły szum w uszach uniemożliwiły wyruszenia na miasto. Od dwu tygodni, to znaczy od zejścia z pomostu w Southampton, była bez przerwy zaziębiona. Ciepła i gorąca kamionka w nogach miała ją uzdrowić; taką przynajmniej miała nadzieję, na to liczyła zostając w łóżku. Dawało to możliwość przedzierania się poprzez nagromadzone dotąd wrażenia, które nie zdołały się związać w żadnym kierunku. Niekiedy spostrzeżenia jakieś szczególne zdawały się już coś znaczyć, aby za chwilę napotkać na przykład wręcz odmienny, przeciwny. Nieraz łapała się na tym, że wycinek cudzego rozumowania przybierał rozmiary opinii ogółu, sprawy powszechnej.

Wypiła parę łyków soku z mandarynkami.

Obfitość mandarynek spadających wczoraj z wózka do torebek przechodniów pomagała głużyć słyszalne stale westchnienia: „Co będzie z węglem?“, „Co zrobimy zimą bez węgla?“



Wróciła pod powieki wityryna jubilera z Bond Street, gdzie na szafirowym aksamicie szalały w kółkach brylanty. Były dla niej olśnieniem, bo dotąd wyobrażała sobie, że taka ich ilość i wielkość może się mieścić chyba tylko w koronie cesarza Indii. A tu — leżą sobie zwyczajnie, tylko wejść do sklepu, zapłacić, schować do kieszeni i wyjść. Tamte perły z Jermyn Street, i szmaragdy wielkości orzecha laskowego, tak nieprawdopodobne w okowach platyny... Jaśniały ceny: kolekcja obrazów Mr. Soames'a Forsyte'a równa się tyłu i tyłu tysiącom funtów szterlingów, równa się tyłu i tyłu „dzikim“, dalekim ludziom, którzy nie widzieli ani jednego obrazu, ani jednej litery. To jest w porządku? Równanie się zgadza. Pamięć przywracała obrazy górników z „Gwiazdy patrzy na nas“ i Nostroma, nurkujące szkielety poławiaczy pereł z jakiegoś dodatku filmowego, wreszcie zdawało jej się, że widzi sekretarza Ambasady, który kiwając głową z uśmiechem mówił: „Pewno jest pani bardzo oszłoloniasta“.

Po przyjeździe z Warszawy i zgłoszeniu się do Ambasady Polskiej na Portland Place Lena przez dwa dni czekała na spis agencji fotograficznych i opinie, które z nich mogą się interesować polskimi zdjęciami. Powątpiewano zresztą, czy uda się taką wymianę zdjęć przeprowadzić. Lena myślała wtedy: Niedolęgi, po prostu starają się znaleźć dla siebie wytłumaczenie.

Odłożyła na później odszukiwanie znajomych, kiedy były przed nią trzy dni zanurzenia się w mieście siedmiu milionów. To pierwsze wrażenie jest niepowtarzalne, trzeba mu się poddać, choć nie zdaje się sprawy z pierwotności wniosków, zachwytów i oburzeń a ich świeżość wydaje się tak cenna, jakby była najwyższym kryterium każdej oceny. Nic nie okazało się tak wspaniałe, jak w pierwszej chwili, nic tak ważne. Wartości związane może inny węzeł, jeszcze nie dostrzegany. Radość oglądania, radość zmiany, radość z nowego przesłania i tamuje radość poznania.

Wędruje się niezliczone godziny wsiadając do pierwszego z brzegu autobusu i krążąc po nieznanym ulicach, by wreszcie zagubić się tak, że jedynym ratunkiem staje się nadzieją dzająca wolna taksówka i rzucony szoferowi kierunek: „Picadilly Circus“.

Bez planu, bez celu, idąc tam gdzie się dojdzie, upatruje człowiek śladów Forsyte'ów. Może gdzieś tutaj miała Fleur swój literacki salon? W której to restauracji Soho przesiadywała za kasą matka Anette? Jermyn Street, Charing Cross Road, Regent Street, Pall Mall — w morzu obcych nazw stają się tak bliskie jak Bracka czy Nowy Świat.

Przy wstępowaniu na schody National Gallery zjawia się pytanie, od której strony nadszedł Wilfryd by spotkać Dinny i swoje życie pogmatwać do reszty?

Oszłolonię trwa.

Odsunąć warto pokusę oglądania galerii na później, nie zatrzymywać się, rozstrzelić uwagę na wszystko, zapamiętywać wszystko.

Jeszcze teraz, pomimo dwu tygodni, miasto zdawało się bezkształtną masą kamienia i ulic. Idąc tropami, które zostawiły kiedyś czytane książki i oglądane filmy chciała się przyjrzeć któregoś dnia wysokim czapom grenadierów i ich szkarlatnym munduram. Przy pałacu królewskim spotkała jednego policjanta w czarnej wełnianej pelerynie, który na zapytanie, kiedy będzie zmiana warty odrzekł z uprzejmym uśmiechem:

— Madam, spóźniła się pani o kilkanaście lat.

Teraz opatulona po uszy kocem, lękając pastylki pomyślała, że to zdanie najlepiej określa jej sytuację z tych paru tygodni.

Przyjeżdżając wiozła ze sobą gotowy obraz, wyniesiony z mieszczańskich powieści; obraz stolicy jednej szóstego-części świata, panującej i nad innymi, pierwszego miasta imperium, ale, jakby w fotoplastikonie, nasunęło się inne przezrocze, i widać było wytwornie ubraną kobietę, która na Oxford Street z rozpaczą oglądała rozlane na chodniku trzy jajka, przed chwilą troskliwie niesione w torebce.

Napływały zafrasowane narady w kolejce podziemnej, co kupić za punkty ubraniowego przydziału, zwierzenia gospodyni pensjonatu o tym, że nie wie co zrobić z synem, który właśnie skończył uniwersytet i nie ma nadziei otrzymania posady w swoim fachu, narzekania, że to prawdziwy skandal: nawet Polacy nie chcą być górnikami w Sussex, i znowu: co z węglem? Dwa lata minęło od skończenia wojny, a węgla jak nie było, tak nie ma.



Jakoś to wszystko zaczęło inaczej wyglądać niż w wytwornych magazynach „Country Life“ czy „Connoisseurze“ — teraz dopiero zaczynała dostrzegać, że tamte opisy angielskiego życia dotyczyły spraw dawnych, minionych dni jakiejś warstwy, a ich aktualność wyrażała się w ogromnej

ilości ogłoszeń o proponowanych sprzedażach majątków ziemskich, pałaców niezdatnych do użytku, zamianie dworów na dwupokojowe mieszkania w mieście.

Fakty zaczynały odzywać we wnioskach, stawało się po trochu coraz bardziej zrozumiałe, że inną musi się stać proporcja zawodów, że zmienić się musi psychika narodu, jeśli nie chce on swojej zguby. Czeką obrzydzenia przemiana tych ludzi z małej wyspy, dla których dobrobytu służyły do niedawna setki milionów bez nadziei, bez szansy prowadzenia własnych losów.

Zaczynał trzeźwieć pierwszy zachwyt, dostrzegano zwykłą brzydotę tego miasta-kolosa, jakichś ustawionych obok siebie dziesiątków Skierniewicz, Radomiłów, z jednym może rozsypanym gdzieś Toruniem.

Spozna olbrzymich, na całą ścianę frontową rozpiętych reklam wychylały się poprzez naddarte plakaty czelustki wypalonych domów, których nie opłacało się remontować. Nie znać było budowy, tyle że usunięte były wszystkie ślady gruzów, a puste przestrzenie oparkanie.

Rozedrgane czerwienią, fioletem i zielonością neonowe hasła, okrzyki, zapewnienia grały już tylko barwą.

Rozmowy w Agencjach niewielkie dawały rezultaty. W sumie zdawkowych uprzejmości tryskały pytania, które świadczyły o nikłej znajomości geografii.

W jednym z biur obiecano jej zatrudnienie przy podklejaniu napisów lub obcinaniu powiększeń, jak tylko zdecyduje się „nie wracać do tego piekła“. Sam fakt takiej decyzji nie podlegał dla nich najmniejszej wątpliwości, zdawało się oczywiste.

Tak wyglądał bilans rozmów, rzeczywiście mizerny.

Wydawało się teraz, że opinia wyniesiona z Ambasady nie była pozbawiona słuszności, nie wynikała z uprzedzeń. Lena nie trwała jeszcze nadziei. Chyba wreszcie trafi na rozsądnych ludzi, wreszcie uda jej się coś zalać. A ułwicił młodość załatwiania czegokolwiek pośród nieskończonej ilości filiżanek herbaty wypijanej przez urzędników nie było łatwo.

Zresztą, idąc teraz sama marzyła o herbacie, o czymkolwiek co by rozgrzało ją choć na chwilę.

Usłyszała nagłe pukanie do drzwi. Wsunęła się do pokoju gospodyni z zapytaniem, którego Lena nie dosięgła dokładnie, przyjmując je za jedną z licznych propozycji herbacianych. Odpowiedziała z wdzięcznością:

— Please.

Rozwarły się drzwi szerzej i zjawiła twarz nowa, wcale nie oczekiwana, do której w pierwszej chwili trudno było dobrać nazwisko.

Hałaśliwe, szybkie wtargnięcie kobiety wygnało natychmiast cały spokój. Ta zdolność rozpraszania każdej ciszy pozwoliła Lenie związać osobę gościa z lekcjami historii, z młodocia w szkole.

Wszystko stało się jasne, już przypominała sobie, że Mieszkowska wyjechała z mężem w trzydziestym dziewiątym roku, że cały ten czas spędzała w Anglii, że była bardzo „zaangażowana“. W co — na pewno Lena będzie zmuszona się dowiedzieć.

Natychmiast, w pierwszych chwilach rozmowy została poinformowana w jaki sposób do niej, do swojej kochanej Leny dotarła, została zarzucona pytaniami o koleżanki ze szkoły, o jakieś kamienie w Warszawie, czy stoją, czy są rozwalone, o to z czego właściwie ludzie w kraju żyją, bo — przecież — nikt pewno tam czynszu nie płać właścicielom do-

# R O Z M O W A

mów; wreszcie czy kraj rozumie, że może na nich liczyć?

W nawałnicy pytań, na które nie było czasu odpowiadać bo już zaskakiwały nowe, powtarzały się określenia jakieś dziwne, jakieś inne. Lena zastanawiała się: w kraju, dlaczego — w kraju, a nie w Polsce? Kraj. Chwycała w mózgu asocjacje: „prywisłanski kraj?“ Zaczęło ją irytować: kto na kogo liczy? Kto ma na kogo liczyć? Nos dla tabakiery, czy...

Pelzała w pokoju nieufność.



Od niewiele starszej nauczycielki, z którą w szkole łączyły ją dziesiątki serdecznych rozmów, wymienianych książek, przedstawień w teatrze, był teraz straszliwy autorytet w stawianiu pytań, w zapewnianiu pomocy, której potrzeby nawet się nie podejrzewało, buchała pewność reprezentowania jakiejś opoki, czegoś niezmiennego, ponad czasem.

Lena degradowała rozmowę do opowieści o losach znajomych i dzielenia się obserwacjami zewnętrznymi faktów i wydarzeń.

Czuła w skroniach podnoszenie się temperatury. Ogarniała ją niechęć, wiotczała pewność, że jednak zamkną się kiedyś drzwi za tym nieoczekiwanym gościem: miała już dosyć wszystkich tych panegiryków na cześć generałów, wiadomości o ostatniej zmianie rządu, o nowym układzie sił w ramach wachlarza politycznego, całej tej zabawy w komórki do wynajęcia prowadzonej przez dorosłych ludzi z ogromnie poważnymi minami.

Wyjście kiedyś, upewniała siebie, przecież nie będzie tu nocować. Powróci wtedy cisza; wspaniała cisza spleśnie z seledynowych ścian. Nawet chłód wiejący z pustego kominka nie będzie już drażnił. Niedługo będzie można zjeść kawałek suchej kiełbasy z kraju. Tak, kiełbasa może być z kraju, a ja jestem z Polski — przedrzeźniała w myślach nauczycielkę.

W rwącym zalewie słów usłyszała:

— Ale ty, ty nic nie mówisz o sobie. Moja kochana, jakżeż ci się udało stamtąd wyrwać? Jakże masz plany?

Lena nie od razu zrozumiała. Po chwili czytając raczej w nagłym skupieniu twarzy żadnej sensacji dojrzała sens pytania.

— Wyrwałam? — powtórzyła. Za pomocą „warszawskiego“ paszportu. Mówię „warszawskiego“ bo gdybym powiedziała tak jak ja go rozumiem „polskiego“, ty mogłabyś mieć wątpliwości. Za pośrednictwem? „Ratowego“. Plan? Zamierzam zrobić tu wymienną umowę fotograficzną i w ciągu paru tygodni wrócić. To całe moje plany.

— Wrócić? Wrócić, powiedziałaś? Przecież nie masz rodziny, którą by za ciebie wywieźli. Przecież to jest zdrada. Któż będzie niósł sztandar, jeśli nie...

Słowa powiały szumem najgłębszego przekonania. Były wyrażone bez cienia złośliwości, z mocą sprzeci-

wu pełnego, tak jak się mówi o sprawach największych, chociaż bolesnych i trudnych.

To było najgorsze. Zdołało zatrzymać rytm serca, nerwy zadygotały w podnieceniu tak silnym, że odeszła na chwilę przytomność. Kamienicznik ze sztandarem — przemknęło Lenie.

Niski pułap zniżał się coraz bardziej, trudno było oddychać, wydawał się dusić czaszkę, druzgotać myśli.

Krzyczyła w niej przeżywana kiedyś odpowiedzialność za ludzkie życie, skupiona teraz w woli bronięcia tych „ludzi z kraju“ — jak oni mówią, przed każdym: złym, czy głupim, oślepionym szaleńcem, poddanym cudzych spraw czy działającym w dobrej wierze.

Mieszkowska wpatrywała się w Lenę i współczująco rzuciła:

— Rozumiem, jak ci ciężko, moje biedactwo...

— Zaraz mi przejdzie, w pokoju jest trochę duszno — ucieła Lena.

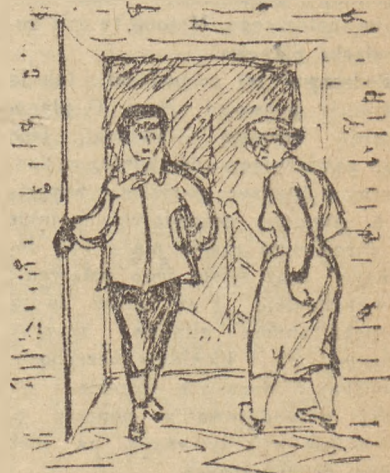
Podparła się na lokciu z trudem chwytając oddech. Nie wiadomo jakich słów, jakich znaków rozumiałych dla tamtej odszukać; takich, któreby były wspólne, któreby były wiarygodne. Przeraziła ją konieczność mówienia w sposób najbardziej osobisty, odkrycia siebie tak, jak się nawet wobec najbliższych tego nie podejmuje. Nie da się jednak dalej milczeć, nie da się dla świętego spokoju udawać, że się nie rozumie; już niedomówienie jest kwitowaniem fałszu, stawianiem po jego stronie.

Spojrzała na Mieszkowską i znowu naszło ją zniechęcenie i myśl, żeby rozmowę przesunąć na inny dzień, kiedy będzie zdrowa, kiedy zgromadzi więcej argumentów, kiedy lepiej pozna ludzi emigracji. Usłyszała:

— Jednak wierzę, że jesteś porządnym, uczciwym człowiekiem.

Już z pasją, już bez wahań, usiłując mówić spokojnie, zaczęła:

— Możemy przyjąć, dwa rodzaje rozmowy. Albo uważasz mnie za płatnego agenta, albo zachowasz ten stopień zaufania jaki miałas dla mnie kiedy bylam smarkata, i przyjmiesz, że to co mówię, tak widzę w sobie,



czy poza mną. Rozumiem, że możesz dostrzegać luki w moim rozumowaniu i uogólnienia dla ciebie niepojęte. Przyjmij je jako różnice dziesięciu lat wojny i powojny. Jakkolwiek będziesz to oceniała, zapewniam cię, że nie istnieje we mnie możliwość prowadzenia podwójnej gry.

Powiedziałam o różnicy przeżyć. To jest na pewno ważne, chociaż nie przesądza tego, że nigdy ludzie nie mogą się porozumieć kiedy ich dzielą różne doświadczenia. Oczywiście, to porozumienia nie ułatwia. Nie trzeba jednak tego przeceniać tak aby się mogło stać tamą, przez którą nie przedrze się żadne słowo, żaden przykład. Nie miałby prawa mówić mężczyzna o kobiecie, grzesznik o świętym, dziecko o żołnierzu, my wszyscy o całej naszej historii, którą uznajemy, którą uważamy za wspólną.



# N A D T A M I Z A

— No i właśnie, chcesz przekreślić historię...

— Proszę cię, nie przerywaj mi, bo mi wcale nie łatwo mówić.

— Ależ — zapewniam ci dyskrecję. Możesz na to liczyć. Wiem, czym ci grozi, jeśli rzeczywiście chcesz wracać.

Lena opanowała się, żeby nie wybuchnąć. Mówiła dalej:

— Na pewno chcę wracać. Według ciebie, co gorsza, nieprzymuszona. Na pewno nie. Mogłabym spokojnie jutro listem poleconym wysłać paszport do Ambasady, napisać do króla



list z prośbą o udzieleniu azylu i zgłosić się do agencji gdzie mi zaofiarowano pracę. Z głodu bym nie umarła. Masz jeszcze jeden argument przeciwko mnie. W czterdziestym piątym roku wychodząc z lagru — mogłam bardzo po prostu nie wrócić do domu. Nie goniła mnie tam obawa, że sobie gdzieś indziej nie zapewnię egzystencji, że sobie nie dam rady. Nie goniła mnie tęsknota do Piotra. Rozstałam się z nim.

Wróciłam, mogę cię zapewnić, bez zachwyty. To nie była Polska jakiej oczekiwałam, o jaką walczyłam. Inna rzecz, że tak bardzo byłam zajęta walczeniem, że nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego o jaką Polskę chodzi. Przyznam, że nie potrafię używać takich słów jak: nieś szandar, albo określać powstanie jako całopalną ofiarę narodu. Taki mam „prywatny” urazik; może się zrodził stąd, że kiedyś zaczęłam liczyć powstaniowe nazwiska na wojskowych Powązkach, a może dlatego, że przez półtora roku wychylałam spaleniznę ciała innego narodu.

Mieszkowska kiwała głową, ubolewając:

— Te wszystkie straszne rzeczy, któreś przeżyła musiały cię osłabić, ja rozumiem, ja nie potępiam...

Lena starała się opanować i mówiła dalej:

— Jeśli się ktoś nie zmierni, chłonąc w siebie dym paru milionów ludzi — niekoniecznie zmiana oznacza osłabienie — chłonąc dym wielu żywych ludzi, to, przyznam, trudnoby pojąć, jaki ma być sens jego życia. A wiesz, że małe dzieci bardzo krzykną kiedy się palą? I, wiesz, nie takowo. Można rozróżnić głosy, to może być zajęciem — to przysłuchiwanie się — przed którym nie ma ucieczki. Musi się słuchać, musi się słyszeć. Rozumiesz? I są tacy, którzy chcą zmusić coraz nowych ludzi do tego zajęcia. I są tacy, którzy im chcą pomagać. Ale są tacy, którzy nie chcą.

Mnie się zdaje, że różnica pomiędzy naszymi stanowiskami polega

między innymi na tym, żeś postawiła tezę, i do niej dobierasz fakty, podprowadzasz sytuacje, znajdujesz wyjaśnienia. Ja wyszłam od obserwowania, od pierwszego wyczucia raczej niż rozumienia tego co się w języku publicystycznym nazywa polską racją stanu, i chyba od tego wszystkiego, co w sobie samej muszę przewalczyć.

Mam jeszcze długą drogę do odzyskania granicy akceptacji, granicy uznawania za swoje tego, co przynieśli ludzie niespodziewani dla mnie, ludzie od których byłam zupełnie odcięta, których demonizowałam może jeszcze bardziej niż wy tutaj. Nie jest to wszystko łatwe, na pewno nie jest. Odrwać się od przyzwyczajen, od automatycznych ocen wyniesionych z czasu, którego już nie ma, który istnieje jedynie w umyśle tych ludzi, dla których jego przedłużenie wydaje się ratunkiem.

Przeraża mnie własna nieumiejętność przekazania tych wszystkich argumentów, które dla mnie są jasne, a dla was tak nieoczywiste.

Mieszkowska spojrzała na zegarek, niespokojnie poruszając się na krześle. Powiedziała:

— Mnie, to co mówisz, interesuje psychologię. Chciałabym wysłuchać do końca tego, co masz do powiedzenia. Powinam już wyjść, ale wolałabym stąd zadzwonić i dowiedzieć się, czy mam dziś odprawę czy nie. Można stąd zatelefonować? Jeśli odprawy nie będzie, muszę dać znać kilku osobom.

— Aparat jest na dole. Poproś tylko gospodynię, to ci przyniesie go do hall'u.

Lena wśluchiwała się w dudnienie głosnych kroków po schodach, mając nadzieję, że Mieszkowska się dowie, że jest zajęta, i ma się wracać do miasta. Opadła na poduszkę, szum w głowie stawał się nieznośny.

Zdumiewała się nad ilością wyrzucanych przez siebie słów. Wróciła myślnie do Hampton, gdzie tydzień temu do swoich przyjaciół zaprosiła ją Wanda Łabędzka, z którą przyjaźniły się w lagrze. Week-end ten był szkołą cierpliwości i dla niej i dla jej gospodarzy. W pięknym parku stała śliczna willa; minister był uroczy, jego żona cownież. W ciszy i spokoju odpoczywano przez półtora dnia od polityki. Zastawa srebrna, na stole świece, pod stołem koty — to już pod Anglików, jak złośliwie zauważyła Lena, kiedy się zorientowała, że nikt tam właściwie kotów nie lubił. Zamożność — duża. Cały high-life emigrancki się zjechał.

W niedzielę wieczorem przyjechał szef sztabu Andersa, generał Wiśniowski. Lena słyszała szepty gospodarzy, narady, po których zostało postanowione, że mogą się spotkać, gdyż proszono ją, żeby zeszła do salonu, gdzie otoczony kilkoma mundurami siedział w głębokim fotelu starszy pan, zyczelwie uśmiechający się do otoczenia. Zyczelwie ją przywitał, zyczelwie przysłuchując się grze na fortepianie. Grano Szopena. Młoda panna o smutnych, może nawet zdolnych do ekstazy oczach zaczęła grać mazurki. Uciszyło się zupełnie. W kryształach wiedły od dymu pęki mimozy.

Generał przeszedł do okna trzymając Lenę pod rękę.

Stali obok siebie, dwa światy.

Welwetowa zasłona tłumiała głosy. Panienska wstała, poprosiła majora o ogień. Major podał zapalniczki porucznikowi, ten ruszył mocnymi krokami z płomykiem. Pochylił się. Dwa uśmiechy. Cisza. Spokój.

Wnieziono cocktail'e. Lena już wiedziała, że nie należy mylić Manhattan'u z Martinim.

Trzymając w rękach kieliszki, znowu odwrócili się do okna. Patrzyli na zarosłą dzikim winem ścianę domu po przeciwnej stronie ulicy. Może właśnie ta ściana przypominała inną, kiedyś ogladaną gdzieś indziej, kiedy odwracała oczy od widoku, który nią wstrząsnął; wpatrywała się wówczas tak samo w dzikie wino splecione ponad oknami. Czekala na adwokata w wojskowym sądzie na Koszykowej. Adwokat się nie zjawiał. Na schodach gromadzili się starzy mężczyźni, wiejskie babiny w tobołku ścisnąc bochen chleba. Z sali rozpraw wyprowadzili chłopaków osiemnasto-, może dwudziestoletnich. Bandy, niby partyzantka; czekali na wojnę, tymczasem ją zastępując zamachem na ORMO, zabójstwem jednym, później następnym, potem przestano już liczyć. Różnie bywało. Wysadzony pociąg, siedmiu zabitych, czterdziestu rannych. Rodziny opowiadały sobie szczegóły ze zgrozą, złorzeczając, pomstując, nie rozumiejąc. Kasa spółdzielni. Gdzieś jakieś dzieci zaczęły mówić za kasjera „Wieczny odpoczynek”. Lena odwracała się od tego widoku, starała się patrzeć na ścianę domu naprzeciwko; dzikie wino nabierało koloru kropel krwi.

Znowu skrzypnęły schody, otworzyły się drzwi i Mieszkowska zawołała od progu:

— No, mogę jeszcze posiedzieć przy tobie, nie będziesz taka osamotniona. Mam prawie godzinę czasu, bo odprawa jest wyznaczona później. Wiesz, co mi przyszło do głowy? Jesteś zasugerowana tamtą propagandą, i dlatego nie znając naszego stanowiska, naszych poglądów, naszej oceny sytuacji — musisz popełniać te błędy w rozumowaniu. Ale ja postaram się skontaktować cię z kilkoma osobami od nas i na pewno w innym świetle zobaczysz wiele spraw. Tak, tobie jest potrzebny kontakt z miarodajną polską opinią. Ja ci to ułatwię — zapewnię gorąco.

— Takie zetknięcie już mam za sobą. Wanda Łabędzka — znasz ją przecież — widocznie „zaręczyła” za mnie i miałam możliwość rozmawiać z tutejszymi wielkościami. Przez półtora dnia więcej się chyba nauczyłam niż przez dwa lata życia w Polsce. Weekendowy nastrój był programowo dla mnie zyczelwy i szczerze pełen współczucia. Nie zupełnie się orientuję, jakie miejsca w hierarchii



tutejszej wszyscy oni zajmują, w każdym razie oświadczałam, że ich osoby odgrywają ogromną rolę historyczną dla narodu „ograbionego przez reżimową kłębę dla utrzymania się przy żłobie”. W tym czasie kilkanaście ra-

zy usłyszałam o chamacach, które dorwały się do władzy.

No — cóż, mam zupełnie inne pojęcie o chamstwie. Nie mam już takiego przekonania, że należałam do klasy kulturtrągerów, jak ci, którzy tak mocno wyrażali swoje przeświadczenie.

Staram się być sprawiedliwa. To wymaga olbrzymiego wysiłku, tego mnie w dzieciństwie nie nauczono. I teraz, choć późno, muszę się zastanawiać komu jest konieczne, komu szło na rękę kłaść znak równania pomiędzy słowem robotnik i słowem cham.

Mnie się zdaje, że to weekendowe towarzystwo bardzo starannie zwręca pojęcie narodu do swojej małej umiarkowanej kasty. Na szczęście naród jest czymś nieporównanie wspanialszym. Ale im wydaje się rzeczą zupełnie niemożliwą widzieć w tych wszystkich innych od siebie — członków tego samego narodu. Stąd czerpią siłę i ton pogardy.

— Mnie to interesuje psychologię — wtrąciła Mieszkowska, jakby rozmowa była w rzeczywistości wykładem, jakby nie dotyczyła życia ich obu.

Lena usiadła na łóżku. Podparła wyżej poduszkę i mówiła dalej z poczuciem beznadziejności, wiedząc jednocześnie, że mówić powinna.

— Psychologicznie? — powtórzyła. — W takim razie — udawała, że nie rozumie znaczenia nadanego słowu — postaram się od tej strony przedstawić ci moje wnioski po rozmowach, które tu słyszałam, w których brałam sama udział. Spytałam jednego generała, który całą wojnę przesiedział w oflagu, dlaczego nie wraca? Pracuje gdzieś pod Londynem jako pomocnik tokarza, z wykształcenia jest drogowcem. Odpowiedział mi, że jego nazwisko za wiele znaczy, żeby mógł przyjechać. I to jest motyw decyzji? Powiedziała mi, pewno osądzisz, że po chamsku — że w ciągu tych dziewięciu lat tylu ludzi odeszło, znikło, i tylu nowych urosło, i nie będę daleka od prawdy, kiedy powiem, że jego nazwisko tyle reprezentuje co i moje. Nie sądzę, że mówiłam w uniesieniu. Takie jest moje przekonanie. Z tym poczuciem narodowym wyższych sfer — to jednak nie jest tak sztandarowo: syn Sosnkowskiego ze swoimi polskimi kolegami mówi już po angielsku. Czyżby to snobizm wyjaśniał?

Nie pierwsza to emigracja... Gdybym o tym czytała w podręczniku, toby mnie interesowało, bo ja wiem... statystycznie. Teraz mnie boli, po prostu boli jak śmierć. — Przestraszyła się własnego patosu. — Rzeczywiście używam wielkich słów... Zanosili się w Hampton ze śmiechu, że robią w kraju trzymiesięczne kursy dla felczarów, których chcą w tym czasie wykształcić na chirurgów. W Polsce nikt się nie śmieje, że Polacy wyjeżdżają na farmy do Brazylii czy Urugwaju. A jeśli zbyt młodych lekarzy daje się na odpowiedzialne stanowiska, co się zdarza, to jednak — chyba sama przyznasz — nie dlatego, żeby wygubić naród, jak sobie wygodniej tłumaczyć. Po prostu nie ma lekarzy w takiej ilości jaka jest potrzebna, nie — poprawiła się — jaka jest konieczna. Ciekawam, ilu było lekarzy na sali w White Eaglu, kiedy w wtorek byłam na lunch'u?

W kogo te kpiny uderzają, w kogo?

— Przecież nikt nie zaprzecza, żeśmy złożyli straszliwą hekatombę

— Mieszkowska podniosła się z krzesła i podeszła do okna zapalając papierosa.

— Nie zaprzecza? No — skoro tak wolisz to określać — w każdym razie nie wszyscy wyciągają z tego wnioski.

Wiesz — stałam jak ty w tej chwili, opierając się o okno i rozmawiałam z generałem Wiśniowskim.

— Rozmawiałaś z nim? Doprawdy?

— Krótko. Powiedziała mi, że to nawet dość wygodnie przy cocktail'ach, słuchając Szopena, rozpalac w Polsce podziemie. Że to kosztuje, oczywiście, ale nie tak znów wiele, bo tylko pieniądze — nie swoje — i życie pewnej ilości chamoów.

— Chyba ci wyjaśnił — przerwała.

— Wiernymi oczyma patrząc się na mnie zapewniał, że nigdy, że nic podobnego, że... jeżei, to anglosasi.

— Słusznie, powiedział.

— Taktycznie i taktownie, to pewne. — Lena przytknęła oczy. Ogarniał ją bezwład. Usłyszała nagle pod sobą:

— Co? „Wyznania” czytasz? Przy tym co mówisz, byłam pewna, że taką lekturą przestałaś się już interesować. — Mieszkowska przerzucała pisma i książki na stoliku.

— A może właśnie dlatego tak mówię, że staram się czytać tę książkę? — Lena resztką sił wydobywała ze siebie wyrazy.

Hałaśliwie, z ożywieniem tamta zaczęła się żegnać, od progu jeszcze wołając:



— Wpadnę do ciebie któregoś dnia, to nareszcie porozmawiamy!

Zamknięte drzwi. Cisza. Drzwi frontowe trzasnęły. Wystygła kamionka w nogach. Wystarczyłoby nacisnąć guzik dzwonka, żeby dostać tym razem herbatę. Ale znowu trzeba rozmawiać, więc niech lepiej zostanie jak jest.

Zaczęła się zastanawiać: tak mi się gładko powiedziało, że z faktu, że człowiek po tym wszystkim żyje, trzeba wyciągać wnioski... Z jaką pewnością siebie mówiłam o tym... A jakie wnioski wyciągam naprawdę? Jakie wnioski? Te które powinny nastąpić wylały się z tymi, które już były.

Przewracała się z boku na bok, chcąc usnąć.

Przenikały w bezustannej gonitwie pod powiekami rzeźby Piotra, mundurki oficerskie, jak bolesna zadra wdzierająca się twarz Tadeusza. Przyniosły się gźwięki „Z dymem pożarów, z kuznem krwi bratniej”; wszyscy co byli w powstaniu, z Londynu tego słuchali... gdzieś tu niedaleko jest radiostacja. Buchnął z najwyższego komina Birkenau ognisty słup roziskrzonego popiołu. Zakręciło w nosie od swądu. Przetarta oczy. Ocknęła się. Tłi się od niedopałka brzeg błękitnego koca. Do domu, do domu.



Rudolf BUCHAŁA

# PRAWO WŁASNOŚCI PRYWATNEJ

W POŁOWIE XX wieku mamy do wyboru dwa ustroje społeczno-gospodarcze: kapitalistyczny i socjalistyczny. Każdy z nich jest chrześcijański, gdyż „nie ma chrześcijańskiego systemu ekonomicznego — pisze O. Serrailanges O. P. — bo chrześcijaństwo jest religią, która bez wątpliwości zawiera moralność, ale nie technikę, bez względu na to, czy chodzi o technikę społeczną, polityczną, ekonomiczną, tak samo jak o technikę literacką, lub inną.“ Musimy więc wybierać i wybieramy ustrój socjalistyczny. Natychmiast podnosi się zarzut: socjalizm głosi i realizuje zniesienie prawa własności prywatnej, co jest sprzeczne z przyrodzonym prawem moralnym. Katolik nie może więc uznać bazy ekonomicznej socjalizmu. Wydawałoby się — sytuacja bez wyjścia. Czy tak jest istotnie?

## NATURALNE PRAWO WŁASNOŚCI

ODPOWIEDZI poszukamy w tomistycznej nauce o prawie własności. Człowiekowi jako istocie rozumnej przysługuje władza nad dobrami zewnętrznymi jako przedmiotami nie obdarzonymi rozumem. Z tego tytułu ma człowiek prawo posiadać te dobra, przy czym „człowiek“ jest tu pojęciem zbiorowym i oznacza „człowieka w ogóle“, a nie jakąś szczególną jednostkę. Celem tej władzy jest zaspokojenie dobrami zewnętrznymi życiowych potrzeb człowieka dla utrzymania wszystkich ludzi i umożliwienia człowiekowi spełnienia jego misji jako osoby. Treścią naturalnego prawa własności jest więc prawo człowieka do posiadania dóbr zewnętrznych i zarządzania nimi w celu zapewnienia sobie egzystencji. Innymi słowy jest to prawo zarządzania i rozporządzania dobrami oraz prawa ich używania. Treść tego naturalnego prawa własności jest dziś „urzeczywistniona wszędzie, tak w Związku Radzieckim, kraju kolektywizmu, jak i w Ameryce, kraju skrajnego indywidualizmu“ (J. Pieper<sup>2</sup>). Naruszenie naturalnego prawa własności grozi w ustroju anarchizycznym, który nie jest właściwym ustrojem lecz rozstrojem, gdyż uniemożliwione jest tu zorganizowane korzystanie z dóbr zewnętrznych, a zatem władza nad rzeczami. Zaspokojenie potrzeb osobistych i przeznaczenie dóbr materialnych na użytek wszystkich ludzi jest bowiem „możliwe tylko pod warunkiem utrzymania trwałego i określonego ustroju“ — czytamy w encyklice Quadragesimo Anno.

## PODMIOT PRAWA WŁASNOŚCI

PO ustaleniu treści naturalnego prawa własności powstaje dopiero teraz pytanie, kto ma być podmiotem tego prawa, jednostka czy ogół? Na to pytanie prawo natury odpowiedź bezpośrednio nie daje. Odpowiedź znajdujemy w wypowiedzianych z prawa natury ius gentium, które „dotyczy jak prawo natury uprawnień i obowiązków jakie wynikają z pierwszej zasady (czynienia dobra i nieczynienia zła) w sposób konieczny, z uwzględnieniem jednak pewnych warunków rzeczywistości jak np. stanu społeczności lub stosunków międzyludzkich“ (J. Maritain<sup>3</sup>). „Prawo natury zatem jeszcze nie określa podmiotu prawa własności; określa go dopiero prawo narodów, wnioskowanie z prawa natury“ — powiada o. Horvath O. P.<sup>4</sup> Na podstawie wniosków wyprowadzonych z prawa natury przy uwzględnieniu rzeczywistości dojdziemy do konkluzji, że naturalne prawo własności może być realizowane raz w formie własności prywat-

nej, a innym razem znów w formie własności kolektywnej. A Rohner<sup>5</sup>) zgadza się z o. Horvathem O. P. pisząc: „Z punktu widzenia prawa naturalnego dopuszczone są obie formy zarządzania i rozporządzania własnością.“ O. Belliot O. F. M.<sup>6</sup>) zaś mówi: „Chrześcijaństwo sprzyja obydwom wielkim formom własności t.j. indywidualizmowi i kolektywizmowi“.

## PRAWO WŁASNOŚCI PRYWATNEJ NIE JEST PRAWEM NATURALNYM

WYMAGA z kolei odpowiedzi pytanie następujące: na podstawie jakiego kryterium wskazuje nam prawo natury pośrednio, poprzez ius gentium, na jedną albo na drugą formę własności? Oparcie porządku prawnego na prawie własności prywatnej względnie na prawie własności kolektywnej zależy od tego, która z tych form lepiej gwarantuje realizację treści naturalnego prawa własności w konkretnej rzeczywistości historycznej. Dochodzimy więc do jednego zasadniczego wniosku a mianowicie: ani prawo własności prywatnej, ani prawo własności kolektywnej nie jest prawem natury, a jest tylko wnioskiem szczegółowym wyprowadzonym z naturalnego prawa własności w odniesieniu do konkretnej rzeczywistości pod wspomnianym kątem widzenia. „Rozróżnienie posiadania — czytamy w Sumie Teologicznej — nie jest zaprowadzone przez naturę lecz przez rozum ludzki na pożytek ludzkiego życia“. I dalej czytamy u św. Tomasza: „Posiadanie prywatne... jest wynalazkiem rozumu ludzkiego wychodzącym poza prawo natury“.

W świetle tych rozważań zupełnie oczywiste są słowa o. Serrailangesa O. P. że kolektywizm „pojęty jako technika... może być zwalczany w imię innej techniki, ale nie w imię moralności albo wiary chrześcijańskiej“, jak również słowa o. Horvatha O. P.<sup>7</sup>) że „obydwie formy własności są z punktu widzenia prawa naturalnego dopuszczalne, o przyznaniu pierwszeństwa jednej z nich rozstrzygać muszą względy już nie prawnonaturalne“. Nie inaczej rzecz ma się encyklice Quadragesimo Anno, mimo zdań niektórych komentatorów. Jeżeli bowiem encyklika mówi „sed semper uno ore affirmasse a natura scu a Creature ipso ius dominii privati hominibus esse tributum“ — to nie można z tego wnioskować, jakoby to było sprzeczne z nauką św. Tomasza, który przecież uczy, że prawo własności prywatnej nie pochodzi wprost z prawa natury, a jedynie można to interpretować w ten sposób, że jest to pewne skrócone wyrażenie, gdyż forma własności prywatnej da się pośrednio, tak samo jak forma własności kolektywnej, wyprowadzić z prawa natury poprzez ius gentium, jak naucza św. Tomasz. Dlatego całkowicie usprawiedliwione jest tłumaczenie ks. J. Piwowarczyka, który przełożył to miejsce jak następuje: „Przeciwnie, zawsze zgodnie uczyli, że prawo własności otrzymali ludzie od natury, tj. od samego Stwórcy...“ — opuszczając tu przymiotnik „privati“. W tym samym zdaniu występuje to zresztą zupełnie jasno przy końcu. Zdanie to brzmi w dalszym ciągu: „...w tym celu, by z jednej strony każdy człowiek mógł zaspokoić potrzeby osobiste i rodzinne, i by z drugiej strony dobra materialne, które Stwórca przeznaczył nożytek wszystkim ludzi, rzeczywistocie temu celowi, za pośrednictwem prywatnej własności służyły“, (tak samo w tekście łacińskim: „huius instituti ope“). Jeżeli poza tym przypominamy sobie, że człowiek zabierający cudze mienie prywatne w ostatecznej nędzy dla zaspokojenia

swoich niezbędnych potrzeb nie popełnia grzechu kradzieży, to znajdujemy jeszcze jeden dowód, że prawo własności prywatnej nie jest prawem natury, gdyż naruszenie prawa natury nigdy nie jest wolne od ratio peccati.

## DWA CZŁONY PRAWA WŁASNOŚCI

PODANO już wyżej istotę prawa własności jako prawa do zarządzania i rozporządzania dobrami zewnętrznymi oraz prawa ich używania, czyli jak uczy św. Tomasz z Akwinu:<sup>8</sup>) „Odnosnie rzeczy ze wewnątrz dwa prawa przysługują człowiekowi. Pierwszym z nich jest prawo zarządzania i dysponowania i z tego względu wolno człowiekowi posiadać własność. Drugim zaś jest prawo używania i z tego względu nie powinien człowiek uważać rzeczy zewnętrznych za własne, ale za wspólne.“ Zdanie to wymaga pewnego wyjaśnienia. Prawo zarządzania i dysponowania jest w jego konkretnych objawach regulowane przez konkretny porządek prawny, przez prawo pozytywne. Władza podmiotu prawa własności jest tutaj wyłączna, Naruszenie jej daje możliwość wystąpienia przeciw naruszcicielowi. Przykład: ktoś uprowadza cudzego konia (obojętnie oczywiście czy należy on do jakiejś jednostki czy do kolektywu). Poszkodowany może wystąpić z roszczeniem przeciw wyrządzającemu szkodę. Prawo używania natomiast leży przede wszystkim w sferze prawa moralnego i nie może być ściśle unormowane przez prawo pozytywne, o czym świadczą pojawiające się w najbardziej przodujących ustawodawstwach przepisy prawa pozytywnego, które również nie mogą jednak ściśle określić, kiedy używanie dóbr jest zgodne z przyjętą w danym ustawodawstwie moralnością, lecz pozostawiają to interpretacji wynikającej z towarzyszących okoliczności. Dlatego nadużycie prawa używania dóbr zewnętrznych nie zawsze daje możliwość wystąpienia z roszczeniem przeciw dopuszczającemu się nadużycia. Przykład<sup>9</sup>): jakiś bogaty człowiek żyje w zbytku podczas gdy wokół siebie ma bliźnich nie mogących zaspokoić swoich niezbędnych potrzeb. Widać z tego jasno, że nie można w takim wypadku zasłaniać się tym, że „według prawa“ jest wszystko w porządku, bo przecież ów bogacz używa swojej własności. Wniosek do jakiego w takim wypadku powinno doprowadzić rozumowanie jest ten, że skoro prawo obowiązuje legalizuje naruszenie dobra wspólnego, należy to prawo zmienić, aby stało się ponownie ochroną dobra wspólnego i przez to zostało uzgodnione z wymogami prawa naturalnego.

## REALIZACJA PRAWA NATURALNEGO W RZECZYWISTOŚCI HISTORYCZNEJ

PRZEJDŹMY do konkretów historycznych.

Akwinata, a za nim encykliki społeczne, uważają porządek własnościowy oparty o prywatną formę własności za lepszy. Św. Tomasz podaje tutaj trzy przyczyny:

- 1) gospodarczą — jednostka zabiega o własne (prywatne) rzeczy bardziej niż o wspólne,
- 2) organizacyjną — takie intensywne zabieganie daje w konsekwencji większą szansę porządku ogólnego,
- 3) polityczną — prawdopodobieństwo pokoju społecznego jest większe.

Wszystkie te trzy przyczyny razem wzięte lepiej zapewniają, zdaniem św. Tomasza, cel prawa wła-

sności, tj. zaopatrzenie wszystkich ludzi w niezbędne im do życia środki. Tak uważał św. Tomasz z Akwinu w XIII wieku. Jak natomiast sprawa się przedstawia w XX wieku?

Zanim przystąpimy do odpowiedzi na to pytanie, chcemy z całym naciskiem podkreślić, że przyczyny powodujące opowiadanie się za ustrojem prywatno-własnościowym przez św. Tomasza leżą w sferze życia doświadczonego, są wyrazem pewnej techniki ustrojowej.

Twierdzimy za Pieperem, że nikt chyba nie zaprzeczy, iż kolektywna forma własności wymaga wyższego poziomu moralnego ludzi niż forma własności prywatnej. Jeżeli św. Tomasz jest przekonany, że człowiek łepiej i chętniej zabiega o swoją indywidualną własność niż o wspólną, to twierdzi tak, gdyż zna doskonale naturę ludzką, której najcięższym skażeniem wskutek grzechu pierwotnego jest egoizm. Opowiadając się więc za własnością prywatną czyni to ze względu na słabość ludzkiej natury. Jeżeli jednak zabieganie o rzeczy własne indywidualnie przeraża się w łamanie wszelkich nakazów etycznych i prowadzi do powstania „garstki nad miarę bogatych ludzi“ na jednym biegunie a spauperyzowanych rzesz na drugim, to ustrój dopuszczający do tego, co więcej legalizujący taki stan rzeczy, jest skorumpowany, cierpi na kryzys strukturalny, obojętnie jaką by nosił przykrywkę polityczną.

Jeśli doszło do tego w kapitalizmie opartym o porządek prywatno-własnościowy, i skoro władza owej „garstki nad miarę bogatych ludzi“ stała się tak potężna, że w ramach tego ustroju nie da się niczego naprawić, to znaczy, że należy dać przewagę formie własności kolektywnej, należy zmienić porządek własnościowy opierający go na tej drugiej zasadzie. Zabieganie o rzeczy indywidualnie własne jest bowiem w okresie kapitalizmu monopolistycznego realne tylko dla wąskiej garstki bogaczy. To powoduje również, że nie jest już zagwarantowany porządek ogólny. Anarchia na rynku wpływa bowiem na inne dziedziny życia, które ulegają dezorganizacji. Wszystko to zaś prowadzi do powstania wrogich sobie klas. Walka klas będąca zjawiskiem rzeczywistości społecznej XIX i XX wieku, nad którym nie można przejść do porządku dziennego, nie dopuszcza do pokoju społecznego. Rywalizacja zaś między potentatami zwłaszcza przemysłowymi na arenie międzynarodowej zakłóca wciąż pokój między narodami. Tak wygląda sytuacja w XX wieku, gdy spojrzemy na nią od strony przyczyn, które w XIII wieku i późniejszych przemawiały za porządkiem prywatno-własnościowym.

Do konieczności porządku kolektywno-własnościowego w XX wieku dochodzimy również szukając odpowiedzi na pytanie: czy porządek prywatno-własnościowy XIX i XX wieku gwarantuje realizację treści naturalnego prawa własności?

Otóż badając rzeczywistość kapitalizmu stwierdzamy, że porządek prywatno-własnościowy nie zabezpiecza dla wszystkich ani prawa zarządzania i dysponowania dobrami zewnętrznymi ani prawa używania ich. Mamy bowiem z jednej strony ową grupę „ludzi nad miarę bogatych“ a z drugiej strony rzesze spauperyzowanego proletariatu rosnącego z dnia na dzień i wyzutego nie tylko z posiadania, ale nawet z możliwości nabycia posiadania. Ale tym samym staje się również fikcyjne prawo używania dóbr zewnętrznych dla przytłaczającej części społeczeństwa, gdyż apele do bogatych o oddawanie tego, co pozostaje po opo-

dzeniu własnych potrzeb i potrzeb życia według stanu były, są i będą daremne. Wyjątki, nawet tak liczne, że mogą się wydawać regułą, spowodowane naciskiem mas, o niczym w tym wypadku nie świadczą. Są tylko wynikiem dobrze pojętego interesu klas posiadających, dla których utrzymanie przy życiu proletariusza jako dawcy siły roboczej jest koniecznym warunkiem zachowania ich własnej pozycji jako posiadających. Te zaś nieliczne wyjątki, gdzie motywem działania jest naprawdę miłość bliźniego, nie obalają reguły! A „zanim się zacznie mówić o miłości, trzeba wpiąć pomyśleć o sprawiedliwości.“<sup>10</sup>)

Porządek kolektywno-własnościowy natomiast może w naszych czasach zabezpieczyć tak prawo zarządzania i dysponowania dobrami zewnętrznymi jak i prawo używania ich dla wszystkich. Prawo zarządzania i rozporządzania rozpada się tu niejako na dwa człony: 1. zarządzanie i rozporządzanie wspólne wszystkimi dobrami, 2. zarządzanie i rozporządzanie osobiste dobrami, które ze sfery zarządu wspólnego przeszły w sferę zarządu osobistego jako gdzieś wynagrodzenie pochodzące z pracy osobistej. Drugi punkt jest zwięzłym odpowiednikiem dawnego prawa własności prywatnej pozabawiony jednak jej zgubnych skutków dzięki regulacji dokonywanej przez całą społeczność bez potrzeby odwoływania się do „nad miarę bogatych“ o oddawanie tego, co zbywa. Podobnie jest z prawem używania dóbr zewnętrznych.

## WŁASNOŚĆ PRYWATNA A WŁASNOŚĆ OSOBISTA

TRZEBA się tu zająć jeszcze jednym problemem szczegółowym. Zostało przedstawione, że zniesienie przez socjalizm prawa własności prywatnej nie jest zniesieniem naturalnego prawa własności. Ale jeżeli marksista, jako dziś konkretnie realizujący hasła socjalizmu, znoszą prawo własności prywatnej, to nie oznacza to hynajmniej, że znosi się w ogóle prawo do posiadania cokolwiek jako swojego. Widocznie zachodzi więc jakaś rozbieżność w terminologii etyki katolickiej i terminologii marksistowskiej gdy chodzi o „prawo własności prywatnej“, widocznie nie to samo, względnie nie zupełnie to samo, ma na myśli katolik gdy mówi „prawo własności prywatnej“ i gdy terminem tym operuje marksista. Tak jest istotnie. Według O. J. Woronieckiego prawo własności prywatnej oznacza to „aby jednostka mogła rozporządzać czymś jako swoim“. Taki jest więc szeroki sens tego pojęcia w rozumieniu etyki katolickiej. Marksista natomiast mówiąc o prawie własności prywatnej ma na myśli prywatne prawo własności do środków produkcji i produktów otrzymanych przy pomocy tych środków, np. maszyna i płótno jako produkt otrzymany przy jej pomocy,<sup>11</sup>) i to takiego rodzaju prawo własności prywatnej, które prowadzi do wyzysku człowieka nie posiadającego tych środków przez człowieka środki te posiadającego. Taki, bardzo zwięzły, jest więc zakres tego pojęcia w terminologii marksistowskiej. Znacząco to, że taki rodzaj prawa własności prywatnej, który takiego wyzysku nie prowadzi, gdzie więc używanie środków produkcji opiera się na pracy osobistej właściciela, nie konieczne musi być zniesiony. Oczywiście jest rzeczą jasną, że nawet taki rodzaj własności prywatnej nie ma szans rozwoju w ustroju socjalistycznym — jak mówią nam marksista<sup>12</sup>) — gdyż istnieje tendencja do zlikwidowania prywatnej własności



# O naszych założeniach ideowych i politycznych

oraz w odpowiedzialności za jego ekonomiczny i kulturalny rozwój.

Nasz stosunek do konkretnych postulatów socjalizmu wynika z konfrontacji tych postulatów z katolickim ideałem historycznym. W chwili obecnej światopoglądowy nakaz miłości bliźniego przymierzony do realnych możliwości współczesnego człowieka, który posiada potencjalne dane do świadomego kierowania procesem społecznego rozwoju — każe widzieć katolicki ideał historyczny w realizacji porządku społecznego opartego o zasadę chrześcijańskiego braterstwa.

Wyrażamy nasze głębokie przeświadczenie, że zarówno dążenie do realizacji społeczeństwa bezklasowego; jak uspołecznienie środków produkcji, gospodarka planowa, internacjonalizm — mogą służyć tak pojmowanemu ideałowi.

Wszystkie wymienione postulaty socjalizmu nie wiążą się dla nas w sposób konieczny z materialistycznym światopoglądem marksistowskim, którego nie podzielamy. Widzimy ideologiczną możliwość realizowania ideału socjalistycznego w sposób zgodny z wiecznymi zasadami etycznymi naszej religii. Rozumiejąc historyczny sens walki klas i uznając rolę klasy robotniczej jako społecznej bazy ruchu socjalistycznego, podkreślamy, że katolicy są obowiązani walczyć o perspektywę rozwoju w ustroju socjalistycznym dla każdego człowieka.

Opowiadając się za prowadzeniem dialogu z marksistami na płaszczyźnie nie dających się pogodzić światopoglądów oraz ich odmiennych koncepcji zamierzamy uczynić wszystko, żeby odejść postawę katolików od jej konserwatywnych powiązań z odchodzącym światem kapitalizmu.

## IV.

Oczywiście wszystko, co do tej pory napisałem o ideologii „Dziś i Jutro” byłoby pożałowania

godnym gadulstwem, gdyby nie równoległe przeświadczenie, że przedstawione teoretyczne założenia i dyrektywy znajdują swoje solidne potwierdzenie w praktyce politycznej w faktach.

Jesienią 1945 r., kiedy powstawało pismo, nie było mowy o afirmacji społeczno-gospodarczych postulatów socjalizmu. Wtedy nadrzędną racją ideologiczną była owa wspomniana już przeze mnie odpowiedzialność pojmowana minimalistycznie: odpowiedzialność za zewnętrzną działalność Kościoła w Polsce i jej warunki w chwili zetknięcia się z problemami materialistycznego światopoglądu oraz odpowiedzialność za biologiczny potencjał staniającego się na granicy upływu krwi narodu.

Nie obecna ideologia, ale zmysł surowego politycznego realizmu był naszą tarczą w tamtych latach.

Od początku zdawaliśmy sobie sprawę, że się decydującą o przemianach Polski stanowią i stanowiąc będą komuniści. Od początku, zachowując nieufną, negatywną postawę wobec działalności PSL i popołowskiego Stronnictwa Pracy — własnym politycznym zachowaniem przygotowaliśmy grunt pod ideologiczną tezę o politycznym „tertium non datur”, co znaczyło, że nie ma politycznego stanowiska poza politycznym obozem socjalizmu lub kapitalizmu.

Teoretyczne pogłębienie owej tezy, sformułowanej oficjalnie po raz pierwszy w artykule Konstantego Lubińskiego jesienią 1948 r. dokonywało się w trakcie ożywionej polemiki prasowej, toczącej się wokół tego artykułu. Artykuł Lubińskiego, precyzujący w zasadniczych liniach nasz ideologicznie pozytywny stosunek do społeczno-gospodarczych postulatów socjalizmu i naszą negatywną ocenę tradycyjnych wytycznych tzw. „chrześcijańskiej doktryny społecz-

nej” miał znaczenie przełomowe dla dalszych losów i ideologii pisma.

W owym czasie już od pół roku wydawaliśmy własny dziennik „Słowo Powszechne” i nasza orientacja oddziaływała na coraz szerszy krąg czytelników.

Było jasne, że w związku z ostateczną klęską polityki Mikołajczyka i rozkładem orientacji Popiela, właśnie czynne ośrodki katolickie mogą się stać przede wszystkim obiektem kapitalistycznej, zagranicznej prowokacji. Trzeba się było od tej możliwości zdecydowanie odgradzić — taki był polityczny sens wystąpienia Lubińskiego.

Rzecz jasna, znacznie istotniejszy był jego sens ideologiczny, o którym pisałem na wstępie. Konieczność obrony słusznej postawy ideowej, nieustanna walka polityczna pogłębiała naszą ideologiczną świadomość, zmuszała do uważnej kontroli zdobywanych teoretycznych sformułowań, pobudzała do nowych, precyzyjniejszych.

Lata 1948—50 to okres naszej walki o koncepcję Porozumienia między Kościołem a Państwem. Porozumienie na długo przed jego podpisaniem uważaliśmy za ważki precedens historyczny, otwierający perspektywę na współistnienie dwu różnych światopoglądów w ramach socjalistycznego systemu.

Cała nasza działalność ówczesna ideologiczno-polityczna była obliczona na przygotowanie myślowego i praktycznego gruntu pod realizację tego celu. Równocześnie pogłębiająca się świadomość maksymalistycznej odpowiedzialności za kulturę katolicką kazała nam rozszerzać nasze placówki wydawnicze i wychowawcze, co wyraziło się w powołaniu do życia Instytutu Wydawniczego Pax i Szkoły Licealnej pod wezwaniem św. Augustyna.

Kiedy mowa o kulturze warto w

paru słowach wspomnieć o toczonej niedawno dyskusji na temat katolickiego pojmowania kultury. Oczywiście, frontalnie odrzucamy tezę jakoby aktualnie katolicy winni zrezygnować z działalności politycznej, poświęcając się wyłącznie działalności kulturalnej. Twierdzimy, że kultury i polityki nie wolno pojmować rozłącznie. I nie ma mowy ani o jakiejś autonomii kultury ani o jej supremacji nad polityką. Obie te aktywności są służebne wobec ideału historycznego stanowiącego wartość nadrzędną.

Kultura jest m. in. narzędziem uświadamiania ideału historycznego, polityka narzędziem jego realizacji.

Porozumienie z 14 kwietnia 1950 roku było wielkim świętem naszego pisma. Gdyby do Porozumienia nie doszło, wszystko co do tej daty wypracowaliśmy, byłoby mniej lub więcej interesującą hipotezą intelektualną.

Jednocześnie żyła w nas świadomość faktu, że akt prawny sporządzony w warunkach dziejącej się rewolucji stanie się papierową fikcją, jeżeli nie znajdzie oparcia w politycznym konkretnie. Pada hasło: Porozumienie musi być zrealizowane. Przetłumaczone na język praktyczny hasło to oznacza, że trzeba dążyć do rozszerzenia zakresu działalności tak, aby katolicy polscy wykonując zobowiązania Porozumienia mieli coraz większe szanse wykazania się swą obywatelską przydatnością.

Realizacja planu odnowy naszej ojczyzny, ruch obrońców pokoju i służebny wobec tych celów Front Narodowy były terenami, na których skoncentrowaliśmy naszą uwagę. Związka ruch obrońców pokoju był nam ideologicznie bliski, gdyż odzwierciedlał autentycznie katolicką tendencję walki o konkretne realizowanie słusznych ideałów.

Każdy dzień przynosi nowe zadania. Podsuwa nam je często nie proszona o to rzeczywistość, chętniej wyluskujemy je z niej sami.

Taka właśnie jest technika powstawania ideologii: religijne przeżycie, pogłębienie znajomości światopoglądu i katolickiej filozofii a także konkretna aktywność polityczna.

Ten stosunek wzajemnego przenikania cechujący teoretyczną działalność ideologiczną i praktyczną działalność polityczną jest nieodzownym warunkiem słuszności postawy ideowej. W gruncie bowiem rzeczy ideologia i polityka to dwa aspekty tego samego zjawiska.

Posiadanie stale doskonalonych, oraz coraz bardziej precyzyjnych sformułowań ideologicznych okazało dobitnie swą przydatność w zwrotnych dla Kościoła w Polsce momentach.

Tylko szczerze przeżywana ideologia pozwoliła nam wówczas utrzymać właściwy, katolicki pion.

Podkreślił jednak warto, że w takich ramach pismo orientowało się wyłącznie na dobro Kościoła i Narodu, a to, że w naszym działaniu nie postradaliśmy własnej katolickiej godności, było sprawą samo przez się zrozumiałą, nigdy zaś celem samym w sobie.

Skrupulancka postawa glansowanych sumień i manicurowanych rącek niewiele ma wspólnego z katolicką ideowością. Nie uznajemy samotniczego dążenia do doskonałości poza wypadkiem całkowitego poświęcenia jedynce Bogu. Rozwój osobowości może się dokonywać wyłącznie w służbie bliźnim i w podejmowaniu ciężarów odpowiedzialności. Szczęście, które w tym przekraczaniu miary własnej tkwi, jest może szczęściem trudnym, ale na pewno najbardziej autentycznym.

Mikołaj Rostworowski

## NOTKI KULTURALNE

W październiku r. w Belgii została konsekrowana nowa bazylika pod wezwaniem Najsw. Serca Jezusowego. Kamień węgielny pod bazylikę położono już w r. 1905. Jednak dopiero obecnie została ona wykończona. Nowa bazylika jest największym kościołem spośród wszystkich w Belgii. Może ona pomieścić 37.000 ludzi.

W Norwegii jest 3.000 katolików, stanowi to 1% ogółu ludności. Jest tam 16 parafii, w których pracuje 40 księży.

Przed pięciu laty nad jeziorem Czad w Afryce, założona została parafia katolicka, rozciągająca się na przestrzeni 1.770.000 km<sup>2</sup>, zamieszkałej przez 1.510.000 ludzi. Połowę ludności stanowią poganie, obrzyżniętą część mahometanie, katolików jest tam 850 i 1.475 katechumenów.

W stolicy Szwecji odbywa się obecnie wystawa polskiej sztuki ludowej, zorganizowana przez Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Szwedzkiej. Prezesem Towarzystwa jest prezydent miasta Sztokholmu Karl Albert-Anderson, a sekretarzem poseł do parlamentu i znany dziennikarz Hermann Laum, który wygłosił przemówienie na uroczystości otwarcia wystawy.

Nagroda Jean-Vigo (Francja) przyznawana corocznie reżyserowi, który wyprodukował swój pierwszy film, zostanie przyznana w styczniu roku 1952.

Czechosłowacja ofiarowała Albanii 3 ruchome kina, zaopatrzone w 6 kompletów projekcyjnych.

W pierwszej dekadzie grudnia odbędzie się w Czechosłowacji festiwal filmów polskich.

W maju roku 1952 odbędzie się Międzynarodowy Konkurs Muzyczny dla pianistów im. Królowej Belgijskiej Elżbiety.

W dniu 6 listopada r. w paryskim Grand Palais nastąpiło otwarcie tak zwanego Salonu Jesiennego.

W związku z 2.000-leciem Paryża, specjalna seria obrazów najlepszych artystów z końca 19 i początku 20 wieku podkreśla piękno francuskiej stolicy.

W związku z Salonem wybuchł w Paryżu niebawymy skandal, bowiem już po jego otwarciu policja usunęła 7 z wystawionych obrazów. Sa to obrazy: Henri Martin — Julien Sorela, Sprzedawca „l'Humana” — Jean Milhaud, Odpowiedz (Port — de Boule, 1949) Borysa Taslitzkiego, 10 lutego 1950 w Nicei — Gerarda Singera, Pochód 1-majowy — Marie-Anne Lausiaux i Dokerzy — Bauquier'a.

Dziennik francuski „Humanité” ogłosił ostatni konkurs na najlepszą pieśń, poświęconą walce narodu francuskiego o Pokój i niezależność narodową. Jury przyznało I nagrodę poecie i kompozytorowi — Henri Jacques Dupont, za pieśń „Naprzód młodzieży”.

Pod naciskiem opinii publicznej w Iranie zakazano wyświetlania filmu amerykańskiego „Stalowy hełm”. Film ten gloryfikuje imperialistyczną agresję USA przeciwko narodowi koreańskiemu.

W roku 1950 kinematografia Chińskiej Republiki Ludowej wyprodukowała łącznie 77 pełnometrażowych filmów.

W dwóch najmniejszych kinach Buenos-Aires (Argentyna) wyświetlany jest polski film „Ulica Graniczna”. Kwień tego filmu, cieszącego się wielkim powodzeniem, zamówiło wielu właścicieli argentyńskich kin prowincjonalnych.

# Prawo własności prywatnej

ści środków produkcji w ogóle. Mimo to ten rodzaj własności prywatnej jest dopuszczony przez ustawodawstwo socjalistyczne. Artykuł 9 Konstytucji Radzieckiej powiada bowiem: „Dozwolone prawnie jest prywatne gospodarstwo indywidualnych chłopów i chałupników, oparte na osobistej pracy i wykluczające wyzysk człowieka przez człowieka”. I choć jest rzeczą oczywistą, że ta forma gospodarstw rolnych nie odgrywa w ZSRR większej roli i z biegiem czasu zamiknie<sup>14)</sup>, gdyż zasada jest gospodarka kolektywna, to jednak art. 9 Konstytucji jest właśnie dowodem na bardzo zwężony i ściśle określony zakres pojęcia „prawa własności prywatnej” w terminologii marksistowskiej.

A „prawo do rozporządzania czymś jako swoim” nie ogranicza się oczywiście tylko do środków produkcji. Te w ustroju socjalistycznym należą do społeczności. Powstaje więc pytanie, co konkretnie pozostawia ustrój socjalistyczny do dyspozycji własnej poszczególnego obywatela? Pozostawia wszystko to, co jest przedmiotem tak zwanego „prawa własności osobistej”, w odróżnieniu od prawa własności społecznej czyli socjalistycznej obejmującego własność państwową i kolehozowo-spółdzielczą. Zakres prawa własności osobistej (pochodnego zresztą od prawa własności społecznej) określony jest ogólnie w artykule 10 Konstytucji, a bliżej, szczegółowiej w przepisach radzieckiego prawa cywilnego poszczególnych republik związkowych.

Dla orientacji i przykładu przytoczymy artykuł 10 Konstytucji oraz

(Dokończenie ze str. 8)

artykuł 1 dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z dnia 26.VIII.1948 roku o prawie obywateli na kupno i budowę indywidualnych domów mieszkalnych. Wspomniany artykuł Konstytucji brzmi: „Prawo osobistej własności obywateli do ich dochodów z pracy i oszczędności, do domu mieszkalnego i pomocniczego gospodarstwa domowego, do przedmiotów domowego gospodarstwa i użytku, do artykułów pierwszej potrzeby i osobistej wygody, jak również prawo spadkobrania osobistej własności obywateli — gwarantuje się ustawą.” Wspomniany zaś dekret mówi: „...każdy obywatel i każda obywatelka ZSRR mają prawo kupić albo zbudować dla siebie na zasadzie prawa własności osobistej dom mieszkalny parterowy albo jednopiętrowy z ilością izb od jednej do pięciu łącznie, tak w mieście jak i poza miastem”. Przedmiot prawa własności osobistej stanowi między innymi również tzw. działka przyzgodowa, jaką posiadać ma prawo każdy członek kolchozu.

## WNIOSKI

Z NASZYCH rozważań, nie pretendujących oczywiście do wyczerpania problemu, wynikają dwie doniosłe konkluzje:

1. Baza ekonomiczna, jaką tworzy ustrój socjalistyczny, nie jest sprzeczna z prawem naturalnym: forma własności kolektywnej mieści się bowiem w ramach naturalnego prawa własności.

2. Zwężenie zakresu dóbr, które pozostawia ustrój socjalistyczny do dyspozycji osobistej człowieka, jest nowym ustaleniem granic między społecznym a indywidualnym charakterem prawa własności nie nieważącym „prawa do rozporządzania czymś jako swoim”.

Jeżeli tak jest, to czy wobec tego zarzut, że katolik nie może wybrać socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego ostoi się nadal, gdy zarzut ten rozpatrzy się z punktu widzenia jedynie obowiązującego w tym wypadku katolika, tj. z punktu widzenia przyzgodzonego prawa moralnego?

Rudolf Buchala.

<sup>1)</sup> cyt. za ks. J. Piwowarczykiem, j. w., s. 54.

<sup>2)</sup> Pieper, „Die Neuordnung der menschlichen Gesellschaft”, 1932, s. 32.

<sup>3)</sup> J. Maritain, „Les droits de l'homme et la loi naturelle” 1943 s. 72.

<sup>4)</sup> cyt. za ks. J. Piwowarczykiem, j. w., s. 32.

<sup>5)</sup> cyt. za J. Pieperem, j. w., s. 33.

<sup>6)</sup> cyt. za ks. J. Piwowarczykiem, Krzyż społeczno-gospodarczy w świetle katolickich zasad, 1932, s. 48.

<sup>7)</sup> cyt. (w tłum.) za J. Pieperem, j. w., s. 35: „Distinctio possessionum... non est inducta a natura, sed per hominum rationem ad utilitatem humanae vitae. (Sum. theol. I, II, 94 § ad 3) — przy czym Pieper tłumaczy „distinctio possessionum” — jako „Teilung des Besitzes”.

<sup>8)</sup> „Proprietas possessionum... juri naturali superadditur per adventionem rationis humanae. (Sum. theol. II, II, 65:2 ad 1) — przy czym Pieper tłumaczy „proprietas possessionum” jako „das Privateigentum”.

<sup>9)</sup> cyt. za ks. J. Piwowarczykiem, j. w., s. 32 i 54.

<sup>10)</sup> cyt. za ks. Piwowarczykiem, j. w., s. 54.

<sup>11)</sup> opiera się na J. Pieper, j. w.

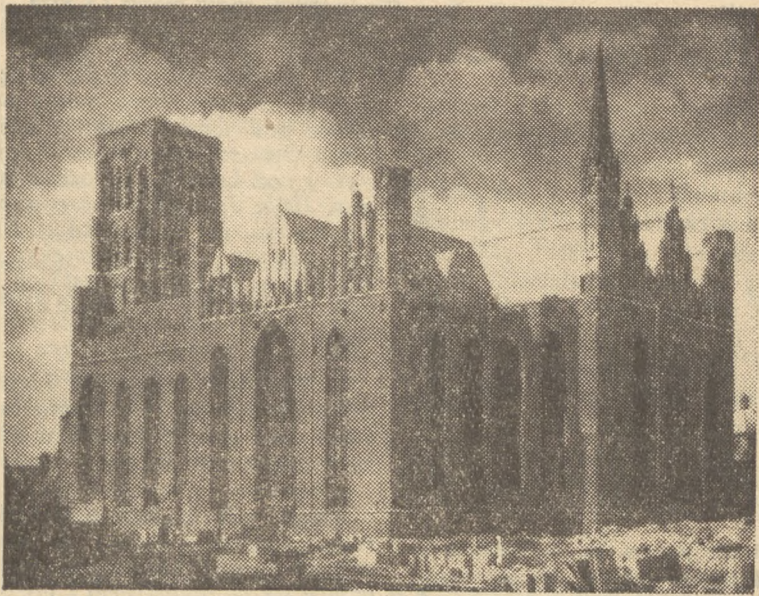
<sup>12)</sup> cyt. za ks. J. Piwowarczykiem, j. w., s. 73, z artykułu „Osservatore Romano”, 3.IV.1930.

<sup>13)</sup> por. A. W. Wenediktow, Gosudarstwiennaja socjalistyczna sobstwiennost', 1946., s. 310.

<sup>14)</sup> por. A. W. Wenediktow, j. w.

<sup>15)</sup> por. J. w.

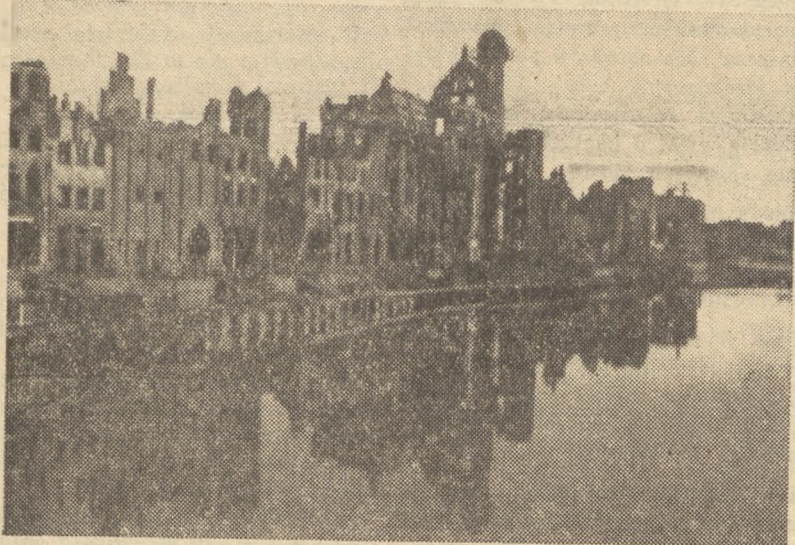




Gdańsk — Kościół Panny Maryi



Gdańsk — Dom Steffensa; naprawa uszkodzonych płaskorzeźb fasady



Gdańsk — zburzona ulica Długi Most



Gdańsk — zbrojownia, rzeźba fasady od strony ul. Piwnej

## Włodzimierz WNUK

**D**OM STEFFENSA\*) na Długim Targu uzbrojony jest cały w rusztowania. Wre tu praca nad zrekonstruowaniem cennej fasady uszkodzonej ciężko w czasie działań wojennych. Ze wszystkich gdańskich kamienic ta właśnie, na Długim Targu 41, pyszni się najbogatszą pozłotą i najświetniejszymi posągami, korząc się jednocześnie przed przechodniemi łacińskim morałem: „Czyń sprawiedliwość, nie bój się nikogo“ i przestroją „Miłość i praca, one cię uszczęśliwią; chcesz je przysłumić, one cię zgniją“.

Warto przedrzeć się przez las belek i sztachet, warto wspiać się po schodach z uginającymi się deskami, by dopiąć celu. Celem tym jest Centralne Biuro Projektów przy gdańskim ZOR-ze, które usadowiło się w najbardziej newralgicznym punkcie miasta: w sąsiedztwie Dworu Artusa, Ratusza i kościoła Panny Maryi. W świeżo odbudowanych pokojach Domu Steffensa i przylegającej doń kamieniczki zagnieździła się placówka, od której w dużej mierze zawisł los starego Gdańska. Tu bowiem rodzą się projekty i plany odbudowy nie tylko całych zespołów architektonicznych, ale każdej budowli z osobna, każdego nawet szczegółu dekoracyjnego. Tu kształtuje się obraz osiedla mieszkaniowego, jakie w ramach Planu 6-letniego ma powstać w starym, zabytkowym Gdańsku, obraz wcielany już etapami w życie. Słowem, tu się wykuwa oblicze Nowego Gdańska w jego dawnej architektonicznej szacie.

Kiedy przyby'em do tej kuźni z grupką kolegów dziennikarzy, ogarnęła nas od razu atmosfera gorączki i podniecenia rozsadzająca ściany małych, wapnem i farbą pachnących jeszcze izb. Izb wypełnionych rojem kreślarzy i architektów pochyłych z liniami i ołówkami nad wielkimi arkuszami papieru. Dyrektor biura, inż. Żuławski, zapoznał nas ze swymi kolegami — stanowiącymi Radę Techniczną przy Centralnym Biurze Projektów — po czym wspólnie z nimi wprowadził nas w najistotniejsze problemy związane z odbudową starego Gdańska. Otoczeni przez architektów i razem z nimi pochyleni nad planami, wpatrywaliśmy się w skupieniu w rysy dzieła jednego chyba z najśmielszych w historii architektury. Z uczuciem tajonego podziwu śledziliśmy wizję przyszłego Gdańska wskrzeszonego w blaskach, a z nędz odartego!

W swojej dawnej szacie architektonicznej zostanie odbudowany Gdańsk na przestrzeni śródmieścia najbardziej zabytkowej: na tzw. Głównym Mieście. Na terenie tym, zamkniętym od południa Podwalem Przedmiejskim, od wschodu Motławą, od północy Podwalem Staromiejskim, od zachodu wreszcie placami Targiem Węglowym, Targiem Drzewnym oraz ul. Kredytową, powstanie osiedle mieszkaniowe o 42 ulicach, 1.200 budynkach liczących blisko 5.400 izb, które dadzą wygodne pomieszczenie dla około 11.000 mieszkańców. Siatka ulic zostanie zachowana w swoim układzie historycznym z tym, że ruch po-

\*) Dom Jana Speymana van der Speye zbudowany w r. 1609. W latach późniejszych dom dostał się w posiadanie rodziny Steffensów — stąd jego nazwa.

## W ZŁOTEJ

jazdów ograniczony będzie do głównych ulic wymierzonych na Motławę, jak ul. Długa, Piwna i Szeroka. Budownictwo mieszkaniowe oprze się na systemie bloków zrealizowanym już w rejonie Długa — Poczta — Ogarna — Garbary, tzn. na zestrojeniu postępu z tradycją, nowoczesności z zabytkową dawnością. Na parterach domów położonych przy większych ulicach znajdą pomieszczenie sklepy detaliczne, centrale handlowe, gospody i lokale dla rzemiosła usługowego. Teren osiedla obejmie poza tym kilkadziesiąt budynków użyteczności publicznej, baszt, bram i świątyń, w tym szereg czołowych pomników architektury gdańskiej, jak Dwór Artusa, Ratusz Głównomiejski, Zbrojownia, Kościół Panny Maryi, Bramy Złota i Zielona itp.

**A**OTO schemat osiedla najogólniejszy. Przyjrzyjmy się jednak nieco bliżej planom Miasta Głównego, które w tym schemacie niezadługo ożyje i utraconym blaskiem znów zabłyśnie. Zaczniemy od południa. Przy Podwalu Przedmiejskim odbudowane zostaną stare mury gotyckie, ponad którymi płynąć będą falistą linią szczytnice domów, za tymi murami wzniesionych. Patrzącemu od strony południowej, żuławskiej, ukaże się piękny widok: jasna koronka renesansu nad gotyckim murem obronnym. Od strony wschodniej, od Motławy, widok będzie jeszcze piękniejszy: taki, jaki zawsze otwierał się stąd na Głównie Miasto. Odbudowany bowiem zostanie na wschodnim brzegu rzeki nie tylko słynny Żuraw i wszystkie zabytkowe, pełne herbów i emblematów polskich bramy: Krowia, Zielona, Mariacka, Św. Ducha, Żurawiowa, Święto-

już od ul. Szerokiej, pojawiać się będzie stopniowo budownictwo nowoczesne tak, żeby uniknąć rażących dysharmonii architektonicznych. Niezwykle okazałe zareprezentuje się w zachodnim krańcu osiedla Targ Węglowy. Z jednej strony placu wyrośnie ciąg murów, łącząc Zbrojownię, basztę Słomianą i Strzelnicę św. Jerzego, po stronie przeciwległej powstanie rodzaj sukienic z podcieniami, trzecie zamknięcie stanowić będzie barbakan i Teatr Dramatyczny.

**W**TAKICH to ramach odrodzi się Miasto Głównie, niegdyś stolica magnaterii kupieckiej, dziś osiedle robotników i inteligencji pracującej. Odrodzi się w swojej dawnej chwale, jedno, że na użytek ludowi obróconej. Odrodzi się w tym mieście nie tylko piękno, w roku 1945 pogrzebane, ale i to, które ręka pruska zniszczyła wcześniej. Rozwalone przez nią zabytkowe portale na ulicy Długiej — z końcem XIX i na początku XX w. Niemcy otworzyli tu nowoczesne sklepy, którym portale zawadzały — są już rekonstruowane i na swoje miejsce przywracane. Usunięte w r. 1934 przez hitlerowców gdańskie słowiańskie motywy zdobnicze (freski roślinne) ze szczytnic przy tej samej drodze, powrócą tam niebawem. Wybiegną jak dawniej na ulice — dla miłośników Gdańska wieść jakże radosna — romantyczne przedproża na Długim Targu, Piwnej i Mariackiej. Już obecnie rekonstruuje się piękne sienie gdańskie, m. in. w Domu Steffensa, w Domu Królów Polskich, w Domu Uphagena, w „Lwim Zamku“. Nad starymi, wąskimi uliczkami znów kłaniać się będą sobie rzędy złotokolorowych kamieniczek z tą



Gdańsk — kaplica królewska

jańska, Straganiarska, ale odtworzone również będą kamieniczki, które tyle uroku nabrały przydawały. Wśród nich zaś Dom Przyrodniczy jako siedziba towarzystw naukowych. Samo nabrzeże ożywi się znacznie przez sprowadzenie tutaj różnych instytucji i placówek usługowych, turystycznych, rozrywkowych, gastronomicznych itp. Przy Podwalu Staromiejskim (strona północna) pobiegnie szeroki pas zieleni, odgraniczający niejako osiedle na Głównym Mieście od Starego Miasta. Na tej przestrzeni, począwszy zresztą

tylko różnicą, że na ich parterach zadomowią się uspołecznione sklepy, a na piętrach zamieszkażą ludzie pracy. A s'awne, monumentalne zabytki gdańskie? Uskrzydła miasto znowu lotem wież i kolumn, obejmą je spowrotem łukiem bram i sklepień, dziś już w wieksości podniesionych z ruin. Nie wszystkie co prawda wnętrza dadzą się odrestaurować w całym przepychu dawnego urzędzenia, ale rzecza artystów naszych będzie uzupełnić braki sztuką godną przeszłości. Tylko owe wnętrza i urzędzenia służyć będą dziś innym



# KAMIENICY

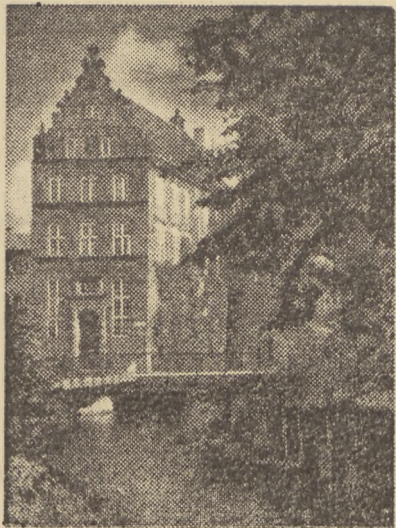
ludziom i innym celom niż dawniej. Symbolem tego przeobrażenia pozostanie Dwór Artusa, ongiś pałac mieszczaństwa gdańskiego i jego giełda — który stanie się wraz z przylegającymi doń kamieniczkami Centralnym Domem Kultury, ogniskiem gdańskich związków artystycznych.

Oto w najgrubszych rysach obraz osiedla, jakie w sercu Gdańska projektuje i buduje Zakład Osiedli Robotniczych. Wypracowanie tego obrazu rozpoczęło na Centralnym Biurze Projektów ZOR-u w Gdańsku, w pierwszym zaś rzędzie na Radzie Technicznej tego biura w składzie architektów: Stanisław Bobiński, Witold Doliński, Witold Majewski, Witold Minkiewicz, Zbigniew Żulawski. Z tą właśnie Radą i z szeregiem innych inżynierów zatrudnionych w CBP udało nam się zetknąć w Domu Steffensa. Ze spotkania tego wynieśliśmy nie tylko wizję nowego Gdańska — ale i coś ponadto. Wynieśliśmy z sobą obraz inżyniera polskiego uczestniczącego w dziele narodowej budowy i dziełu temu całą duszą oddanego. Architekci, z którymi przyszło nam pogawędzić, pochodzili z różnych stron kraju i z różnych środowisk społecznych, przy czym byli wśród nich ludzie młodzi, starsi, a nawet wiekiem dość posunięci. A przecież wszyscy oni z jednakową pasją, z jednakowym umiłowaniem sprawy podchodzili do problemu gdańskiej odbudowy. Konferencja nasza w niczym na szczęście nie przypominała przeciętnej konferencji prasowej, tyle dynamiki, zapału i ferworu wnieśli w nią nasi rozmówcy. I było coś z gruntu zdrowego i pomyślnego w zdarzeniu dość niepowседневnym: gdy oto nasi gospodarze, nie bacząc na przedstawicieli prasy, zaczęli w pewnej chwili namietnie ze sobą polemizować. O niezgodnione jeszcze punkty w planowaniu, o przeznaczenie tych czy innych obiektów, o styl tego czy owego budynku... Z tej pacji twórczej, z tego przejęcia się sprawą i z osobistego jej przeżycia, z tych ostrych gorących kontrowersji — rodzi się w naszych oczach nowy, choć po staremu piękny Gdańsk.

**R**ODZI się w tej atmosferze coś więcej. Coś, czego nie da się wymierzyć i policzyć, ale co przejawia się w tym właśnie entuzjastycznie dla pracy nad odbudową miasta, w tym zaangażowaniu się pełnym i niepodzielnym w robotę, która ma swój wsopniały aspekt społeczno-narodowy stanowiąc zarazem dla inżyniera i artysty polskiego pole do działania twórczego jedynym w swoim rodzaju. Niejeden z tych ludzi, których poznaliśmy w Domu Steffensa, przybył po wojnie na Wybrzeże z Wilna czy z Lwowa, niejeden przywędrował tu z poczuciem tymczasowości. I oto powoli, ogarnięci przez środowisko gdańskie, tętniące od pierwszych chwil wyzwolenia bujnym życiem polskim, wciągając w potężny i wszytko ogarniający nurt odbudowy i przebudowy, porwani przez pracę zawodową o niezwykłych perspektywach twórczych i ogromnym walorze społecznym, świadomi historycznej doniosłości, jaką dla narodu i kultury europejskiej stanowi odbudowa Gdańska — ludzie ci odnaleźli na Wybrzeżu swój kat oiewiczysty i swoje w nim miejsce. Ludzie ci

odnaleźli w polskim, ludowym Gdańsku — siebie.

...Z gorącej atmosfery Domu Steffensa wyszliśmy na Długi Targ. Powietrze było mroźne, od morza dał ostry, dojmujący wiatr, rudy śnieg skrzypiał nieustannie pod nogami. Białe, a-nemiczne słońce ledwo przeziarało zza ołowianych chmur. A ludzie pracowali na budowie, jak zwykle. Huk świrdrów acetylenowych, łoskot desek, stuk młotów mieszały się z warkotem motorów, z nawoływaniem i krzykami. Wokół Dworu Artusa



Gdańsk — Dom Opactwa Pełpińskich

roilo się od robotników, nad którymi luty rzeźbił swoją twarzą władzę. Gorące jej symbole, żelazniaki z żarzącym się węglem, rzuciły czerwone błyski.

„Pierwszy zimowy sezon budowlany“ — mignął mi przed oczyma tytuł z gazety przeglądanej parę miesięcy temu. Nie zwróciłem wtedy uwagi na notatkę: znowu tam coś o budowie, o produkcji, o normach... Sine ręce wyciągnięte nad żelazniakami podkreśliły mi teraz ten tytuł grubą czerwoną kreską. Stojący obok mnie kolega, redaktor-poeta, zapatrzył się w owe ręce nad ogniem. „Narzekałmy czasem — odezwał się po chwili — na naszą ciężką pracę. Ale pewnie żaden z nas nie zamieniłby się z nimi. Do diabła tam, człowiek siedzi sobie w ciepłym pokoju, a tu...“

Opodal stał barak tak lichy i niepozorny, że z pewnością przeszlibyśmy mimo. Na szczęście poeta już tam raz trafił w swoich wędrówkach gdańskich. Wszliśmy za nim do wnętrza, w którym było aż szaro od kurzu: pracownia kamieniarsko-rzeźbiarska przy PPB 4 dosłownie kurzyła się od roboty. Sześciu robotników, zaopatrzonych w dłuta i młotki, pochylało się nad większymi lub mniejszymi blokami piaskowca obrabiając je zgodnie z rysunkami Centralnego Biura Projektów ZOR-u. Bo tutaj właśnie oblekają się w kamienną rzeczywistość misterne kształty przez architektów wy-czarowane. Tu się wykuwa z gruby, chronawych bloków smukłe i gładkie kolumny, finezyjne gzymsy, strojne kapitele, tu również pod ręką artysty odradzają się słynne gdańskie posagi i figury przez wojnę ciężko uszkodzone. Razem z kamieniarzami pracował w baraku artysta rzeźbiarz Bernard Szymański (z Pracowni Konserwatorskiej) wykańczający gzyms dla wieży Ratusza Głównomijskiego. Obok innych zrekonstruowanych fragmentów architektonicznych leżały przy nim trzy pięk-

ne kapitele z Bramy Zielonej; znaleziono je swego czasu w gruzach w stanie szczątkowym, dzisiaj, po gruntownej artystycznej „reperacji“ (brakujące części zostały dorobione z piaskowca) odzyskały one swój pierwotny wygląd. Środek baraku wypełniony był okazałą, sięgającą pod sufit rzeźbą przedstawiającą postać kobiecą: to jedna z czterech figur, które runęły ze szczytnicy Domu Steffensa rozbijając się w drobniaki — dziś z nich dłoń artysty, Alfonsa Łosowskiego, wskrzesza zabity kształt, ożywia obumarłe piękno.

**S**TANAŁEM na chwilę przy kamieniarzach, przy ich zapylonych sylwetach nad tworzywem. Wykuwali konsolle dla wnętrza Domu Steffensa, którego przesławna fasada w tym właśnie baraczkę została odrestaurowana. Ostrza dłutek, pobijanych młotkami, zanurzały się rytmicznie w nieforemnych blokach żłobiac w nich zwolna upragnione formy. Robotnik musi tu być artystą, a przynajmniej rozumieć sztukę i ją odczuwać. Przy tym praca jego należy do cięższych: nie tylko dlatego, że jest kamieniarska, ale i z powodu ustawicznego wdychania pyłu, ujemnie wpływającego na organizm. Toteż kamieniarze zatrudnieni w PPB 4 są dobrze, nawet bardzo dobrze opłacani — dzięki podwyższonemu stawkom zarabiają oni w akordzie około 2.000 zł miesięcznie! Ponadto PPB dostarcza im bezpłatnie 1/2 litra mleka dziennie celem uodpornienia na chorobę pylicy. A kiedy przybyli w r. 1945 na Wybrzeże, zarabiali jako robotnicy niewykwalifikowani — bo wiedzieć jeszcze nie mogli znaleźć pracy w swojej specjalności — od 400 do 500 zł miesięcznie. Tak ich awansował budujący się Gdańsk.

Spśród kamieniarskich mistrzów jeden mię ujął jakoś szczególnie. Może dlatego, że więcej w nim było z artysty, niż z robotnika, a może po prostu wyczuliem w nim krajana. Jan Curzydło, rodem spod Nowego Sącza, przywędrował w r. 1945 do Gdańska z żoną i trojgiem maleństw — czwartego się już tutaj dochował. Przywędrował nad morze, jak to góral, dla chleba... Z początku biedował, ale z chwila, kiedy stał się kamieniarzem w PPB, skończyła się jego bieda. Robotę miał ładną. Naprzód trzeba było wyreperować Bramę Wyżynną, gdzie pocisk wyrwał kawał kamiennego, rzeźbionego wkleśle muru. Tak się złożyło, że przed odwiedzinami w baraku czekałem przy Bramie na tramwaj i podziwiałem w duchu, jak to „cysto pięknie“ jej róg ktoś naprawił: za parę lat, jak kamień trochę przyciemnienie, nikt tu ani śladu wojny się nie dopatrzy. Okazało się, że to „Jaśko od Sącza“ urzędował z dłutem przy Bramie. Już aniłowicie trzymający nad Orłem Polskim koronę, zesłali pewnie dla Curzydły promienny swój uśmiech... A potem była robota w Dworze Artusa, wreszcie w Domu Steffensa. Zaszczytna droga dla kamieniarza.

Ile razy jestem na Długim Targu, zaglądam do skromnego baraku, a przynajmniej z daleka popatrzę na jego ubóstwo. Bo w tych ubogich ścianach i wśród tych prostych ludzi odradza się w kamieniu Gdańska bogactwo największe: S z t u k a.

Włodzimierz Wnuk



Gdańsk — Brama Wyżynna



Gdańsk — nowe domy przy ulicy Ogarnej i Garbary



Laureaci nagrody państwowej III stopnia (od prawej) inż. Zbigniew Żulawski, prof. Jan Borowski, inż. Witold Doliński — omawiając plany odbudowy Starego Miasta w Gdańsku



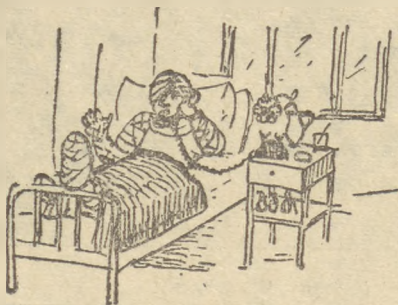
Król Kazimierz Jagiellończyk — rzeźba z Dworu Artusa w Gdańsku  
Zdjęcia: J. Buhak, Z. Kosycarz i K. Ielewicz.



ZUK

# Krótkie sprawozdanie sportowe czyli długa droga utrapień i sensacji

(Od własnego korespondenta, bezpośrednio telefonem ze szpitala)



**D**UNKTUALNIE o godzinie siódmej rano zerwałem się z łóżka, aby zdążyć zająć jakieś możliwe miejsce. U bram stadionu zorientowałem się, że po pierwsze, bilet zostawiłem na stoliku przy łóżku, a po drugie stadion jest jeszcze zamknięty i publiczności nie wpuszczają. Postanowiłem więc wrócić na śniadanie do domu, co niezwłocznie uczyniłem, wsiadając w trolleybus.

## PIERWSZE NIEPOWODZENIE — KONIECZNOŚĆ EWAKUACJI

Po śniadaniu zabrałem bilet i wsiadłem w trolleybus. Wsiadłem nie zupełnie. Jedną nogą znalazłem oparcie na stopniu i jedną ręką chwyciłem poręcz w drzwiach. Druga noga dyndała mi w powietrzu, a na drugiej ręce wisieli trzech facetów, trzymając się jej uporczywie,



aż do rogu Alei Ujazdowskich i Piękną. Tu konduktor obwieścił wesoło: — Dalej nie jedziemy! Proszę

wysiadac! Wóz wraca na plac Unii. Z okrzykiem zgromy opuściliśmy trolleybus udając się per pedes na Łazienkowską.

Na Łazienkowskiej i Myśliwieckiej można było obejrzeć tłumy wyrzwyżające ile sił w nogach w kierunku stadionu. Bito tu niewątpliwie liczne rekordy krajowe, które pozostaną na wieki tajemnicą ich zdobywców. O dziesiątej byłem już na stadionie. Mimo woli rozejrzałem się za jakimś miejscem. Było jeszcze istotnie kilka nieobsadzonych, a to: szczyty dwóch masztów z chorągiewkami, łoża honorowa na trybunie, góra część zegara boiskowego i kilka drzew stojących za ogrodzeniem stadionu.

## RUCHY JEDNOSTAJNIE PRZYSPIESZONE CZYLI PRZYROST NATURALNY.

Tłumy napływały wszystkimi wejściami na wypełniony stadion. Coraz większe masy ludzkie przeciskały się na schodki i parły w górę. — No, panie, co pan sto...? — zawołał ktoś. — Siadaj pan! Usiadłem i w tej chwili fala ludzka przelała się przeze mnie jak woda przez zburzoną tamę. Widziałem tylko nieskończenie wielką liczbę nóg i butów, które przechodziły nade mną, bądź zeskakiwały mi z ramion, inne w tym momencie wchodziły mi na plecy, dostawały się na głowę, skąd ważyły się na dół coraz szybciej. Zdażyłem w niezrozumiały sposób uchwycić swój własny kapelusz i czyjaś nogę, w przekonaniu, że to moja własna. Po pięciu minutach, kiedy fala przelała się, postyszałem jakiś głos nad sobą:

— Pani Szttyfcik! Chodź pani tu! Ja siedzę!

Spojrzałem w górę. Istotnie jakiś facet siedział mi na ramionach, trzymając nogi po obu stronach mej szyi.

Usiłowałem podźwignąć się, ale facet warknął:

— Siedzisz pan, to się pan nie ruszaj. Masz pan miejsce, czy nie?

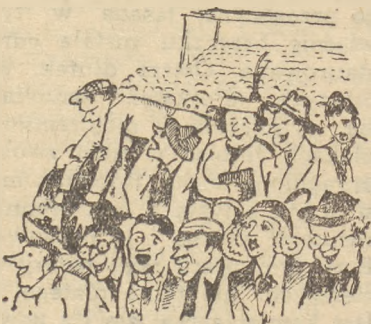
— Mam — wyrzeźbiłem — ale...

— Jak pan masz, to siedź pan cicho! Pani Szttyfcik!...

Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni agrafkę i niechcący wyjąłem ją, niechcący otworzyłem i niechcący facet z wraskiem zeskoczył mi z ramion. Podniosłem się i otrząpiałem. Poleciały ze mnie szczątki garderoby.

## PRAWO HOOKE'A, CZYLI: ODKSZTAŁCENIE JEST PROPORCJONALNE DO CIŚNIENIA

W tym momencie nowa dywizja widzów wtargnęła na stadion i poczułem, jak ruchy mej klatki piersiowej słabną, płucem brak jest powietrza, a żebra poczynają znacząco trzeszczeć, niby dąb wystawiony na działanie wichury.



— Jeśli pan nie przestanie się pchać — wrzasnął gość stojący przede mną — to ja panu pokażę, że i ja umiem się bronić!

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wydobyć głosu, uśmiechnąłem się więc tylko przyjaźnie do faceta i poczułem jak język wydobywa mi się na wierzch.

— Śmieje się pan! Język mi pan pokazuje! — wrzasnął — Ty bydlę! Łobuz! Masz za swoje!

Nie mogąc się obrócić kopnął mnie w kostkę. Raz w jedną, raz w drugą. Uniósłem nogi, ale nie upadłem. Wisiałem ściśnięty w tłumie i poczułem szaloną ulgę. Bariery pękły. Pierwsze rzędy publiczności zostały przyparte twarzami do siatkowego ogrodzenia.

## TEMPERATURA WZGLĘDNA I PUBLICZNOŚĆ BEZWZGLĘDNA

W następnym etapie rozpoczęto masową produkcję strzał i gołębi z papieru. Świetnie się bawiłem dopóki jedna ze strzał nie trafiła mnie w oko. Zresztą, nie to było najważniejsze. Zbliżyła się godzina rozpoczęcia meczu. Temperatura i rozporządkowanie wzrastało. Już tylko półtorej godziny!

— Panie! — ryknął do mnie ktoś z tyłu — zdejm pan kapelusz!

Dla zadokumentowania, że to do mnie mowa, ktoś cisnął mi w szyję ogryzkiem.

Oduróciłem się.

— No, co się pan patrzysz?! Zdejmuj kapelusz!

W tym momencie fala ludzka pchnęła nas od dołu i całość zbranych przyparta została do górnej bariery. Nie mogłem wydobyć rąk, które nagle uwięzły mi w ściśniętej masie. Ktoś z tyłu jednakże pomógł mi. Wyrznięto mnie z boku łaską w głowę, tak, że i kapelusz spadł, tylko guz mi widocznie na głowie wyskoczył, który zaczął innym zasłaniać boisko, bo podniósł się okrzyki:

— Te, świński blondyn! Kucnij no, czy jak?! Nic nie widać! Eee, tyyy kucaj!

Usiłowałem kucnąć, ale gość przede mną warknął:

— Jak pan będziesz kopał kolanami po nerkach, to tak pana prze-fastruguję, że teściowa pana nie pozna. Bierzesz pan te kolana, czy nie?

Znalazłem się między młotem a kowadłem.

## FALE STOJĄCE I DRGANIA PERIODYCZNE

Uratowało mnie coś, co przypominało nieco trzęsienie ziemi. Publiczność zaczęła falować raz na lewo, raz na prawo, trochę naprzód trochę w tył. Te ruchy ludności trwały dobrych kilka minut i nagle poczułem, że działają one na mnie analogicznie do działania fal morskich. Przypomniała mi się podróż z Dąrkowa do Uski i poczułem dziwną młodości. Zbladłem i zacząłem prosić:

— Panowie! Dajcie spokój! Morska choroba mnie bierze! Nie kołyszcie! Panowie, bo draka będzie, jak bonie dydy... — szeptałem wybladłymi wargami.

Nagle zrobiło się koło mnie tyle wolnego miejsca, ile nigdy przedtem.

Rozstępowano się przede mną z należytym szacunkiem.

Odszedłem nieco w bok i zobaczywszy inne twarze, postanowiłem.

## UWAGA! ZACZYNAJMY!

Popelnilem jednakże jeden zasadniczy błąd Idąc ustawiłem się twarzą nie do boiska, a do publiczności. Niespodziewane brawa zlały się z okrzykiem „Idź!” po czym publiczność pchnięta do przodu zgniotła mnie definitywnie, ustawionego tyłem do bramki. Teraz dopiero zacząłem wic się jak piskorz. Czuję, że guziki urywają mi się jeden po drugim. Nie rezygnowałem jednak, wierciłem się, kręciłem, usiłując wykonać obrót o 180 stopni, ale daremnie.

— Brawo „Dynamo“! Brawo „CWKS“! — posypywały się okrzyki.

— Panowie! Ja też chcę widzieć! Zapłaćcie! Mam prawo! — domagałem się.



Nikt mnie nie słuchał.

— Panowie! Litości! Oni przyjechali aż z Tbilisi a ja ich nie mogę zobaczyć! Obywatele!...

— Cicho tam! Hymn grają! — wrzasnął ktoś!

Zamilkłem. Kiedy skończono spytałem:

— A Marganija jest?

— Jest! Jest!

— A jak wygląda?

— Przystojny, z wąsikami. Nie nudź pan. No, zaczęli! Piękne podanie!

— Panowie, a Antadze gdzie gra?

— Gdzie ma grać? Na boisku!

## SKRĘCALNOŚĆ CIAŁ SZTYWNYCH.

— Opowiedzcie, co się dzieje — prosiłem.

— Panowie trzeba umożliwić temu panu oglądanie meczu — powiedział ktoś — bo nam żyć nie da.

Wtedy dwóch facetów chwyciło mnie za głowę i odwróciło ją do boiska.

Korpus mój pozostał nienaruszony na swoim miejscu.

Coś chrupnęło mi w szyi i zaraz po tym zabrało mnie pogotowie.

— No, załatwione! Patrz pan teraz! — to były ostatnie słowa jakie pamiętam ze stadionu.

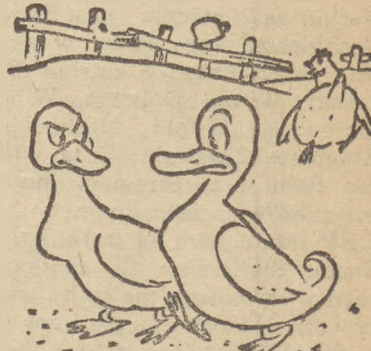
Wierzę, że po powrocie ze szpitala dowiem się o gruntownym remoncie stadionu, który w przyszłym sezonie piłkarskim pomieści dwa razy więcej publiczności.

Zuk

## HUMOR



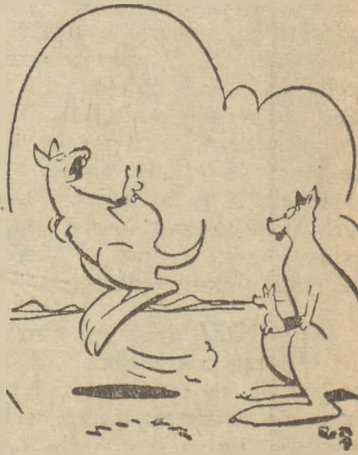
Ludzie was przynieśli! i nie zawracajcie mi więcej głowy.



Bezczelność tego koguta jest oburzająca. Nazwał mnie kaczką dziennikarską.



Ona nie ma ani odrobiny zaufania do jego wierności.



Uważam, że tylna kieszeń jest zdrowsza.



Jego ojciec był elegancką damską torbką.

Wacław OLSZEWSKI

## Kulig

Pinczerkom wpięto w uprzęż pióra pawie i strusie i do sań zaprzęgnięte. Tłum panów i pań zawył dźwięm janczarów. Na kozłach paniusie trzasnęły z bicza plotek. Ruszyły sznury sań.

W anglosaskich derkach i burkach wielbłądzich, które „Zachód” rzucił, jak jalmużny kęs w noc karnawałową tłum „maseczek” błdził nienawistne spojrzenie rzucając spod rzęs:

przez ośnieżoną Polskę sunął pijany kulig, drzemiącymi wioskami biegł pinczerów ślad w saniach Pierrot do serca pugilares tulit, kulakami walił do spółdzielczych chat.

Snieżnym Nowym Światem biegł janczarów chichot, ciszę Krakowskiego zbudził jazgot pań: ośnieżony Mickiewicz zwrócił się w noc cichą, Kopernik usiadł bokiem do brzęczących sań.

Po całodziennym trudzie zasnęły kominy Łodzi, Gdańska, Wrocławia i tysiąca miast — w sienie masce pajaca krzywił pajac siny w beznadziejnym grymasie swoją trupią twarz:

we dworach kameralnie nie grało fortepiano, dziewice nie wpadały w anemię, ani w smęt, z zajazdów nie wolano i z ganków nie witano a kwoki w salonikach z pluszowych spadły grzęd.

Rankiem, gdy hut i fabryk zawyły syreny gdy w reflektorze słońca znikła noc i śnieg — paniusie i pierroci pierzchnęli ze sceny (jeszcze czasem za sceną słychać ich pinczerków szczek)

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagnmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr I-727. Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych. Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 2964/A. 2-B-42087.